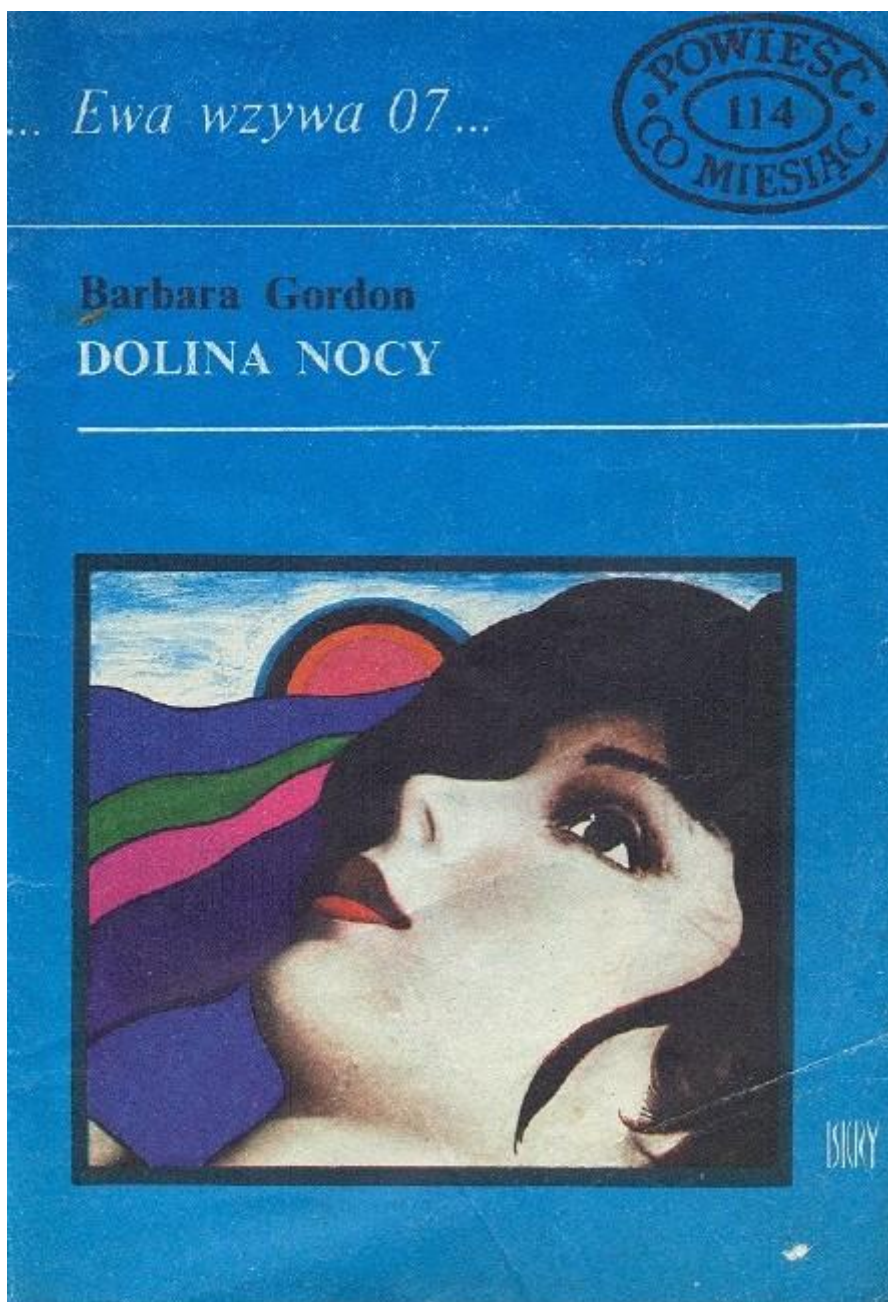


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07..

Barbara Gordon Dolina nocy



Stanisław Groń czekał. To oczekiwanie było boleśnie przejmujące. Tak czeka się na pierwsze spotkanie z dziewczyną, na atak na froncie, może też na nieuchronny śmierć. Pamiętał kilka takich oczekiwań w swoim życiu. Przed wysadzeniem pociągu w latach partyzantki. I gdy stał pod drzewem, przywiązany do jego pnia, a chłopak z leśnej bandy celował w niego z urzynu, by wykonać wyrok w imieniu Polski Podziemnej. Urzyn się zaciął, a może chłopak stchórzył. Jakiś oddział wojska, przeczesujący las, przyszedł z odsieczą. Przypadkowo.

Ni z tego ni z owego przypomniała się Groniowi właśnie teraz jedna z ostatnich rozmów z matką, sprzed lat, gdy przyjechał do domu na wieś, żeby zabrać bratanicę Ewkę. W liście matka napisała: „Szwa-gierce Twojej, Magdzie, zmarło się miesiąc temu. Antek poszedł z domu znowu precz, powiedział, że na gospodarkę nie wróci. Zabierz dziecko, bo się tu zmarnuje”. Matka mówiła:

— Ja do ciebie. Stasiu, nie pojedę. Ty masz swoje życie, ja swoje. Ale Ewkę weź, ja już jej nie wychowam, za stara. A jeszcze jej kto wypomni ojca, leśnego. Swoi to nie, ale tu teraz nowych dużo, obcych. Kiedyś leśni chodzili sobie środkiem drogi przez wieś, spotykali milicjantów, kłaniali się sobie grzecznie i rozchodzili, każdy w swoją stronę...

— Policjantów chyba — sprostował Stanisław. — Podczas wojny.

— Milicjantów, mówię, a nie policjantów — rozgniewała się. — Nie we wojnę. Po wojnie to już było.

Ona wiedziała swoje, on swoje. Chciał jej odpowiedzieć, że w tych stronach, gdzie teraz przebywa, on i powojenni „leśni” nie salutują sobie uprzejmie na środku wiejskiej drogi.

Za oknami posterunku w Topolewie stała cicha letnia noc. Niby spokój, pogasły prawie wszystkie okna w domkach, zatulonych w bujną zieleń resztek dawnego lasu i ogródków. Latarnie palą się z rzadka mdłym światłem. Odjechały ostatnie pociągi. Na peronie pusto. Te godziny, gdy ludzie przekreślają kontakty, niby kładąc kres swym dziennym sprawom, elektrycy nazywają „doliną nocy”, bo najmniejsze jest wtedy zużycie prądu. A ksiądz tutejszy, sprawny kaznodzieja, powiada, że to Bóg kładzie swą miłosierną dłoń na świat, aby zaznać mógl spokoju. Wiadomo — kto śpi, nie grzeszy.

Ale kto śpi, a kto nie śpi w Topolewie tej nocy?

Reflektory samochodu wyskoczyły nagle spoza zakrętu drogi i oddaliły się. Groń poznał: to doktor Grządkowski. O tej porze? Chyba od Niedzińskich, widocznie starsza pani znów zasłabła. Tutejsze sfery wyższe, „państwo”. Mówi się: „u Pawlusów”, „u Kabatów”, ale: „u państwa Niedzińskich”. Należą do nie-licznej już garstki tych, co jeszcze przed wojną pobudowali tu sobie wille na lato, a wojna osadziła ich w Topolewie na stałe, jak rozbitków na mieliźnie po zatonięciu okrętu. Obok nowobogackich, czyli „prywacia-rzy”, są nie wysychającym źródłem pokus dla wszelakiego rodzaju band, gangów i indywidualnych złodzie-jaszków. Ot, chociażby dla Kabata. Ciekawe, czy rodowe srebra Niedzińskich to też jego robota...

Na skos od okien posterunku, za torami, świeci się w oknie małego domku. To u tego literata--socjologa, Kotkowskiego. Towarzysz magister albo pracuje, albo zabawia się z dziewczynkami.

A teraz spoza budynekczku stacji, z krzaków, wymknęło się kilka cieni. Paroma susami przesadzili tory. i znikli. Oczywiście koło rampy, gdzie stoją wagony z węglem. Podkradanie węgla to specjalność Banaszcza, jego braci, a teraz już i synów.

Groń sięgnął po słuchawkę. Nikt się w składzie nie odzywa. Dozorca, stary Jacoń, pewnie popił sobie i śpi w najlepsze. Trudno, Groń nie ruszy się teraz z posterunku. Radiowozu nie ma co wzywać. Jest w drodze. Dopiero co dzwoniła kelnerka z zajazdu „Na rozdrożu”, że pobili się pijacy, więc posłał tam chłopaków. Wreszcie odezwał się zachrypnięty głos: — A czego tam?

— Słuchaj. Jacoń. tu Groń. Banaszczaki węgiel ci ciągną, a ty śpisz.

— Niech ja skonam! Ich sześciu, a ja sam?

— Wróci radiowóz, to ci go podeślę.

— Powiem im, żeby poczekali. — Stary mruknął jeszcze coś, co brzmiało niezbyt uprzejmie i odłożył słuchawkę.

Ot, jak to jest. Pod samym Groniowym nosem złodziejaszki grasują, a on nic nie poradzi. Zanim obudzi telefonem któregoś ze swoich i ściągnie go na pomoc, ferajna będzie już po drugiej stronie toru, na melinie u „Lewego”, gdzie zawsze, o każdej porze dnia i nocy każdy może się napić według życzenia: wódki, bimbru, denaturatu, czyli „dingsu”, a nawet kradzionego z zakładów farmaceutycznych spirytusu metylowego.

Westchnął z rezygnacją. Wciąż za mało tu ludzi, chociaż i tak więcej, niż dawniej bywało. Jest radio-wóz. Jest pies śledczy. Ale to, co publicyści i teoretycy zowią marginesem społecznym, to przecież nie biały pasek papieru na kartce zeszytu szkolnego, oddzielony starannie, przez pilnego ucznia za pomocą linijki, a żywi ludzie. Pulsująca gorącą krwią gromada ludzka, dzieląca się na komórki, na grupy, grupki, bandy, gangi, klany, większe, mniejsze, gardzące prawem ludzkim i boskim, porządkiem i tak zwanym uczciwym zarobkiem. Och, jak on ich zna! Tyle lal prowadzą między sobą, on i oni, ni to grę, ni to walkę, ni to pojedynek, ni to polowanie. W dzień spotykają się na ulicy, jak gdyby nigdy nic, ot, po sąsiedzku, kłaniają się sobie grzecznie, nie przymierzając jak ci powojenni leśni i milicjanci w jego rodzinnej wsi. Nawet już nie uśmiechają się drwiąco, jak kiedyś, za jego plecami. Niektórzy tylko spieszniej wskakują do kolejki, bo ten i ów akurat znalazł dorywcze zajęcie.

Dziwne mu się wydało, że właśnie dzisiejszej nocy znajduje czas na ten rozrachunek. Ile zrobił przez te niemal trzydzieści lat swojej pracy milicyjnej w Topolewie. żeby tu był porządek, ład, żeby można było żyć spokojnie, chodzić po nocach bez obawy o życie, zdrowie i portmonetkę. Wiele supłów rozwiązało samo życie. Ale nie wszystko szło ku lepszemu tak samo przez się. Ile to tygodni tropili bandę, która uprawiała ordynarny rozbój, ile miesięcy trwała cierpliwa akcja likwidacji kolonii hipisów, ile czasu zajęło wyśledzenie, kto napada w ciemnościach na samotnie wracające do domu z pracy kobiety, zarzucając im od tyłu na szyję oponę samochodową? A kilkakrotne rozbicie gangów gwałcicieli?

Groń od lat obserwował, rozgryzał różne paczki i gangi. Widział, a nieraz wyczuwał, jak się rodzą, legną, skleją. Już w szkole. Albo przy budce z piwem i lodami. Albo po leśnych wertepach, gdzie wagarują, szukają niewypałów i nاپuszczają psy na spółkujące w zaroślach parki. Albo najprościej — na stacji. Oto promenada, salon towarzyski Topolewa, giełda pomysłów i miejsce zbiórek. Siedzi takich paru na ławeczce i tylko patrzeć jak coś zbroją, gdy podnoszą się teniwie, bez słowa, przeciągają się jak koty i rozkołysanym krokiem podpatrzonym na westernach, z rozszawionymi w łokciach na boki ramionami wsiąkają w którąś z osiedlowych uliczek.

Północ. Zadzwoił telefon. Groń drgnął. Tak się zamyślił, że ten dzwonek rozbrzmiał mu w uszach jak alarmowy sygnał.

— Posterunek w Topolewie — mruknął, podnosząc słuchawkę,

— Tu Bielski. Może mnie potrzebujecie, komendancie? Nie śpię jeszcze. — Głos, dobiegający z drugiej strony przewodu był stonowany, ale jednocześnie brzmiało w nim autentyczne zaniepokojenie.

— Nie, nie. Dziękuję wam. Nie trzeba. W razie czego zadzwonię do was. — Gronia irytowała wymowa Bielskiego, tak starannie i wyraźnie akcentującego poszczególne zgłoski. Z trudem opanowywał rozdrażnienie na samą myśl, że w ogóle mógłby do czegokolwiek potrzebować Bielskiego.

Odłożył słuchawkę, nic chciał przeciągać dyskusji. Mógłby na przykład zrobić. Bielskiemu kawał i posłać go, żeby poszukał Banaszczaków z ich łupem. Wyobraził sobie swego wymuskanego zastępcę, jak pomyka przez krzaki i zarośla za nieuchwytnymi złodziejaszkami* i o mało nie parsknął śmiechem. Chłopaki z

posterunku mówią na niego „towarzysz profesor”, bo coś tam skończył, zdaje się, że prawo. Jakie licha «o przyniosło do Topolewa, powinien w Komendzie Wojewódzkiej albo Głównej siedzieć, tam jego miejsce.

Bielskiego przenieśli niedawno z Łodzi. Podobno „na własne życzenie”. Mówią, że babka go rzuciła, nie chciała iść za milicjanta, inna wersja brzmi, że ożenił się, ale żona mu uciekła...

Groń zasepił się. Czuł, że nie jest w porządku w stosunku do tego młodego podwładnego, który wobec niego niczym nie zawinił — chyba tylko tym faktem, że był, że istniał. No bo czy to źle, że taki on schludny, taki rygorysta, że od nich wszystkich mądrzejszy, wykształcony, lepiej przystosowany do nowych czasów? Oni, to znaczy Groń i paru starych, co się jeszcze tu trzymają na posterunku, należą do czasu, który jest już za nimi, z którym zmagali się na śmierć i życie, który niejednego z nich zjadł, nadkruszył i wycwanił, i nauczył jakiejś takiej smutnej pobłażliwości, że „nie na wszystkośmy mocni”... Z tymi ludźmi Groń porozumiewa się nieraz bez słowa, jednym gestem, jednym spojrzeniem. Ale co siedzi w takim Bielskim, co on myśli, co czuje, jaki jest — Groń nie wie. I nigdy się pewno nie dowie, bo chyba już niedługo rozstaną się. Bielski zastąpi tu Gronia. Wszyscy to wiedzą, żadna tajemnica. Odmładzanie kadry. A Groń przechodzi na emeryturę, bo mu się już należy. Mógłby zostać w Topolewie, ale nie zostanie. Głupio by było. Pojadą z żoną do starszego syna. Jest leśnikiem na Suwalszczyźnie.

Bielski siaduje naprzeciwko i oczu z niego nie spuszcza. Nie to, żeby się wtrącał lub krytykował polecenia i decyzje Gronia. Ale tak, jak gdyby usiłował ze swojej strony coś zrozumieć. Podpatrzeć, jak on, Groń, to „robi”. Widać, że wielu rzeczy nie pojmuje.

Bo właśnie — tylu rzeczy nie wie. Po prostu nie wie. Dlaczego Groń puścił ostatnio „Lewego” po libacji w jego melinie, libacji, która kosztowała życie trojga ludzi, strutych metylowym spirytusem? Dlaczego, dlaczego? Bo czy go się puści, czy potrzyma jakiś czas, i tak będzie dalej służyć pijakom swoją norą. Zaniknie się „Lewego”,

powstaną natychmiast nowe meliny — dwie, trzy, cztery. Trzeba będzie te nowe meliny tropić, obstawiać, likwidować. A tak „Lewy” pilnuje, żeby mu nikt konkurencji nie robił. A zresztą — „Lewy”... Ma przed sobą dwa, trzy miesiące życia. Rak płuc. Więc zamykać go, czy nie zamykać? Bielski mówi: zamknąć. Groń powiada: „Dajmy sobie z nim spokój” — i wie, że tak samo myślą ludzie w Topolewie. Oj Bielski, Bielski, życia nie znacie, chociaż książek żeście się nażykali. — Myślicie, że posterunek to urząd, a urząd, to znaczy dystans. Trzymać ludzi z dala od siebie, za barierką. I lepiej nawet za wiele o nich nie wiedzieć, tyle tylko, ile potrzeba do konkretnej sprawy.

Co prawda tego wieczoru Groń nie mógł się go pozbyć. Kędziora też się kręcił jak Marek po piekle, to akta przekładał, to palcem próbował, czy paprotki podlane.

— Idź ty do czorta. Kędziora — warknął Groń. — Już ciebie tu nie widzę.

— Jak tam chcecie, szefie — burknął poufale. Mógł sobie na to pozwolić. Stary kumpel. Piętnaście lat razem tu siedzą. — Ale po mojemu to źle robicie. On tu nie przyjdzie. Frajer byłby. Jeszcze jakiś numer odwali. Głowę dam, że ostrzeże koleśków. A mielibyśmy sprawę z głowy...

— Nie odwali numeru. I przyjdzie. Trudno, ryzyko. Mnie będą bić, nie was. Żeby mieć z głowy sprawę, powiadasz...

Kędziora się nastroszył. Coś zgrzytnęło w tonie komendanta. Przygana? Ironia? Pod którym adresem? Kędziory czy Bielskiego? Bo Bielski też oponował przeciwko decyzji Gronia, ale nieco inaczej. Kędziora miał na myśli konkretnych ludzi. Bielski prawil tak w ogólności, bezosobowo, ale za to uczenie.

Groń mrugnął na Kędzioreę. Ten zrozumiał.

— No już dobrze, szefie. Trudno. Idziemy, kolego — pociągnął Bielskiego za ramię. — Chodźmy. Po drodze coś ciekawego wam pokażę. Pewnie nie wiecie jeszcze, gdzie tu dziewczynki mieszkają...

Trzasnęły drzwi. Został sam i poczuł się nagle jak więzień. A przecież sam siebie uwięził. Swoją własną decyzją, jak kartą, na którą wszystko postawił. Może nie życie — choć i taka przegrana mogła się zdarzyć, ale to wszystko, czym owo życie dotychczas wypełnił. Całe nagromadzone przez z górą pięćdziesiąt Jat dobro i zło. Więzy z ludźmi. Zaufanie — swoje do ludzi i ludzi do niego. Swoje porywy zapału i twardą wytrwałość, zaciętość i chwile wzruszeń, wszystko, o co walczył, do czego dążył, co osiągnął i nawet to, czego osiągnąć nie zdołał, co mu umknęło, przeciekło przez palce. Będąc u kresu drogi musiał się sprawdzić. Wygrał, czy przegrał. A potem — niech go diabli wezmą. Niech go wyleją, pociągną do odpowiedzialności. Niech sobie tu Bielski gospodaruje. Będzie miał na pewno lżej. Łatwiej. Nawet nie przez to, że czasy inne. Po prosiu będzie miał mniej roboty. Nie będą do niego przychodzić, jak do Gronia, ze swoimi prywatnymi sprawami. Nie przyjdzie Felek Karaś, żeby się poradzić, czy ma się żenić z czarną Irką, czy też nie, bo ona, wszyscy wiedzą, kurwa za przeproszeniem komendanta, ale obiecała, że po ślubie to już się nie będzie puszczać, a ludzie mówią, że z takich często są dobre żony, więc czy to prawda, czy nie, czy wierzyć Irce, czy nie wierzyć, co komendant myśli i może by komendant z nią pogadał, wymiarkował, czy ona tak szczerze, czy wstawią kit i nie przyjdzie stara Kuflńska, że jej syn. Kajtek, podbiera jej pieniądze i różne drobiazgi z domu wynosi, ale ona nie chce składać żadnego meldunku, broń Boże, wstyd by był, więc tylko tak po przyjaźni, może by komendant chłopaka wziął za ucho i postraszył trochę, żeby on już tego nie robił, i że komendant o tym wie nie od niej, tylko od kogoś...

Pokój pełen był ciszy — aż gęstej, ale Groniowi wydało się, że właśnie oni, ci wszyscy, tutejsi, defilują przed jego biurkiem i każdy swoje, swoje, swoje, szeptem, półgłosem i świdrującym uszy krzykiem, z rozpaczą, zniechęceniem i nadzieją, błaganiem i groźbą.

Tak się zapamiętał w tych rozmyślaniach, że aż poderwał się na krzesło, kiedy skrzypnęły drzwi posturunku i od progu odezwał się lekko schrypnięty głos:

— Cześć, Stachu. Można?

Pytanie było retoryczne, gdyż gość nie czekał na zaproszenie. Bezceremonialnie, gestem zadomowionego bywalca przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Gronia. Był czas, gdy na widok tego człowieka twarz Gronia rozjaśniała się, ale ten czas minął.

Przybyły przetarł dłońmi pomietą jakby twarz i zaczerwienione oczy, pod którymi rysowały się ciemne podkowy obrzęków. Dawał do zrozumienia, że jest śmiertelnie znużony. Dawniej Groń współczułby mu. Teraz nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Pomyślał tylko, że są przecież w jednym wieku, dobiegają sześćdziesiątki, ale Kotkowski wygląda dużo starszej.

Literat zapalił carmena, poczęstował Gronia, ale ten odmówił — wolał swoje klubowe.

— Napijesz się herbaty? — zapytał Groń. Była to wyraźnie zdawkowa uprzejmość. — Z termosu — dodał. — Maszynka nam się dziś przepaliła.

Nie było to prawdą, Groniowi zwyczajnie nie chciało się odprawiać całej herbacianej ceremonii akurat dla Kotkowskiego. Termos i kanapki przyniosła z wieczora Marta, żona Gronia.

Kotkowski wbrew oczekiwaniu zgodził się potulnie nawet na herbatę z termosu.

— A może... — bąknął i sięgnął ręką do kieszeni. Wysunęła się z niej do połowy płaska butelka z połączoną zakrętką w formie kubeczka. Koniaczek, stały ryszunek Kotkowskiego.

— Ani moje imieniny, ani twoje — powiedział sucho Groń, nalewając herbatę do szklanek, wydobytych z szafki.

— Ale pozwolisz, że ja... — nie czekając na przyzwotenie Kotkowski dolał sobie koniaku do herbaty. Groń milczał. Pił powoli, z przyjemnością, gorący płyn. Teraz, dopiero uświadomił sobie, że jest głodny, że chce mu się pić, że od wieczora nic nie jadł, a tu już północ minęła.

— Podobno puściłeś Kabata — wycedził literat. — Wszyscy tak mówią w Topolewie.

— To dobrze mówią. Puściłem. Kotkowskiego poniosły nerwy. Aż zapał:

— Ale dlaczego? Dlaczego? Takiego... takiego oprycha, chuligana, złodzieja! Prowodyra bandy!

— A ty to wszystko skąd wiesz, że oprych, złodziej, prowodyr bandy? Masz dowody, co?

— Przesłuchanie? — zachnął się Kotkowski.

— Może. Bo jeżeli tak twierdzisz i masz dowody, to dlaczego to kryłeś? Dopuściłeś, żeby się rozbujali na całego? — Groń cedził słowa powoli, zimno.

Kotkowski spłoszył się.

— Dowody... Dowodów nie mam. Ale to jasne. Każdy w Topolewie ci powie...

— Tylko mi już przestań gadać, co w Topolewie mówią ludzie — huknął nagle Groń podniesionym głosem. — Żeby tak ja wszystkich bajd słuchał, tobym musiał pół Topolewa zapudłować. Jak chcesz, to ci powiem, co na ten przykład o tobie mówi Topolewo. Że połowa z tego, co piszesz, to lipa, że małałatki uwodzisz, że obiecujesz im i role w filmie, i posady w telewizji, i różne jeszcze inne cuda. I mówią, że...

— Przestań! — Kotkowski zamachał rękoma, jak gdyby odpędzał atakujące go osy.

— No widzisz. Jak o twoją skórę chodzi, to wołasz „przestań”. Ale uważasz, że tobie wolno pleść byle co o kimś innym.

Na chwilę zamilkł i do pokoju znów wróciła cisza, którą nieznacznie tylko naruszał ciężki, przyspieszony oddech Kotkowskiego. Groń przestał go na moment dostrzegać. Zamiast tego przedwcześnie postarzałego człowieka siedział przed nim jak w południe tamten, młody, i patrzył nie na Gronia, ale jak gdyby przez niego w dal, w okno za plecami Gronia, w ogród, zarośnięty gęsto przekwitłym już bzem i rozkwitającym właśnie jaśminem. I mówił: „Dowodów żadnych pan komendant nie ma i nie będzie miał, jeżeli ja ich nie dostarczę. A to, że się przyznaje? Powiedzmy, że wstawiam ki, że bujam dla hecy, żeby was wykołować. U prokuratora pójdę w zaparte. Zeznam żeście wymusili. No i co?”...

— No i co zrobisz z tym Kabatem?

To znów Kotkowski. Andrzej Kotkowski. Kiedyś przyjaciel. I jeden z jego pierwszych politycznych sukcesów. Jak na bardzo starym filmie, w którym wszyscy nie chodzą, lecz biegają i wykonują gwałtowne, przyspieszone ruchy, w pamięci Gronia przelatuje sekwencja: młody chłopak z AK, który za jego namową ujawnia się dobrowolnie, który namiętnie i szczerze w białej koszuli z czerwonym krawatem powiewa szturmówką i śpiewa Międzynarodówkę w pierwszomajowym pochodzie, który pisze, płomienne wiersze i demaskatorskie artykuły najpierw w prasie młodzieżowej, potem partyjnej i literackiej, kończy socjologię, który potem...

Co było potem, Groń nie wie, na jakiś czas Andrzej Kotkowski zniknął z Topolewa. buszował gdzieś po Wybrzeżu, wyjeżdżał za granicę, ożenił się i rozwiódł — i kiedy wrócił znów do swoich dwóch klitek z

kuchenką w Topolewie przy stacji, odziedziczonych po ciotce, kapitalistce średniego kalibru, był już zupełnie innym człowiekiem. Nadal był czynnym współuczestnikiem zdarzeń, a jakże, „udzielał się”, pisywał rozprawy o nabrzmiałych problemach społecznych, ale Groń wspólnego języka już z nim nie odzyskał.

— Co zrobię z Kabatem? — powtórzył pytanie Kotkowskiego. — Jeszcze nie wiem, a gdybym nawet wiedział, to ci nic powiem, bo to tajemnica służbowa. Bieg sprawy nie tylko ode mnie zależy.

— Ja — wyjąkał cicho Kotkowski — myślałem, że ty po przyjaźni...

— Widzę, że coś ci bardzo zależy na wiadomościach o tej sprawie — bąknął od niechcienia - Groń. — Pamiętam, kilka lat temu lubiłeś tego chłopaka, albo on lubił ciebie, nie wiem. Biegał za tobą wszędzie jak psiak. I urwało się. Co się stało? Resocjalizacja się nie udała, czy jak?

Kotkowski wzruszył ramionami. Odpowiedział nie od razu:

— Nic się nie stało. Szczeniak zanudzał mnie, — wszystko by chciał od razu wiedzieć, chciał, żebym mu tłumaczył takie sprawy, których ja sam do dziś do końca nie rozumiem. Myślał, że mu nie chcę powiedzieć. Czy miałem mu się spowiadać, co przeżywało się w czterdziestym czwartym, czterdziestym piątym, co w dziesięć lat później? Co ja jestem, szkoła polityczna dla dorastającej młodzieży? Powiedziałem mu, żeby się odczepił.

— T to wszystko? — nalegał Groń. Znał Andrzeja na tyle, żeby wyczuć, iż ten coś jeszcze ukrywa. — Podobno dwa tygodnie temu szybę ci wybili kamieniem. Miałeś może włamanie? Nic mi nie mówiłeś, mel-dunku żadnego nic złożyłeś.

„Cholera” pomyślał Kotkowski — „Stary wyga. Tyle wie, a nie da po sobie poznać”. Odpowiedział skwapliwie:

— Szybę wybili. Wieczorem, jak mnie w domu nie było, prawda. Ale włamanie? Cóż to za włamanie! Trochę taśm magnetofonowych. Może jeszcze parę zagranicznych tygodników z gołymi dziewczynami. I tyle. Forsy w domu nie trzymam, biżuterii ani waluty nie posiadam. I miałem taką bzdurę na posterunku zgłaszać? Uśmielibyście się i tyle. Ale w każdym razie jestem pewien, że to banda Kabata. Dlatego byłem ciekaw, co znaczy twoje z nim zagranie.

Zakończył swoją perorę już zupełnie opanowany. Spokojnie, lekceważąco. Niech Groń nic będzie taki ważny. Właściwie od pewnego czasu nie znosił tego człowieka. Za to, że potrafił zostać takim, jakim zawsze był. I za to, że jego, Andrzeja, pamiętał innym, niż jest dziś. I za to jeszcze, że mówił Greniowi w tej chwili nieprawdę. Ale czy miał wyznać, że raz jeszcze postanowił odbić się od dna, na które nieuchronnie spychały go i własna niemoc, i konkurencja żarłocznego, potężnego liczebnie młodego pokolenia kolegów? Kiedyś wsławił się seria sensacyjnych reportaży o hipisach. Ale problem spadł z porządku dziennego, a o Kotkowskim i jego „bombie” zapomniano. Żarła go zawiść, szarpał gniew. Jeszcze raz, jeszcze jeden raz wynurzyć się na powierzchnię. Żeby ludzie zaczęli lekturę tygodnika od kolumny, która będzie cała, od góry do dołu jego dziełem. A może film dokumentalny, może coś dla telewizji? Seria wykładów na uczelni? Rzecz będzie o narodzinach, rozkwicie i upadku młodzieżowego gangu. Zaczął rozpracowywać temat, kiedy Kabat był jeszcze „jego Kabatem”, słuchał u niego płyt, pożyczał książki. Rysiek Kabat nie lubił powieści, mówił, że to wszystko „ci panowie i te panie” wymyślają. Chciał wiedzieć, jak naprawdę ludzie żyli kiedyś, jak żyją dziś w różnych stronach Świata. Czy zawsze było tak, że jedni mają wszystko, a inni nic? Jak zaradzić niesprawiedliwości, która co i rusz z jakiegoś kąta szczyrzy zęby i nęka porządnych ludzi? Na przykład jego ojciec, zwany Kabatem-Kuternogą.

Miał wypadek w pracy i został kaleką. Z winy zakładu, bo urzędzenia, przy których pracował, były niesprawne i wszyscy o tym wiedzieli, i majster, i inżynier, i ten od bezpieczeństwa. - Ale potem się wyparli i

okazało się, że Kabat sam sobie winien, bo nic uważał, a może nawet był na cyku. Jak sprawa trafiła do sądu i przyszła kontrola, maszyna była cacy i na medal wyrzutowana, po nocach ją doprowadzali do porządku. Ko i Kabat sprawę przegrał, odszkodowania żadnego, które mu się należało, nie dostał, z roboty zwolnili, bo „niezdalny”, otrzymał trzecią inwalidzką i teraz, żeby żyć, bimber pędzi. Więc jak to zrobić — pyta! Rysiek Kotkowskiego — żeby takie rzeczy nic zdarzały się ani u nas, ani nigdzie na świecie. Sloganów do wiadomości nie przyjmował, żądał realnych dowodów. Kie przekonywały go te, którymi częstował Kotkowski skąpo i bez głębszego przekonania. Argumentów historycznych zaś pojmować jeszcze nie potrafił. Nieuchronność społecznych przemian i procesów — wszystko to brzmiało pięknie, ponętnie, ale jego miarą rzeczy była chropowatość powszedniego dnia, gorycz i klęska pojedynczego człowieka.

Dlaczego, pytał, kiedy po skończeniu zawodówki poszedł pracować do warsztatów kolejowych, brygada żądała, żeby się „wkupił”, stawiając wódkę? Nie miał na to pieniędzy. Nie chciał też z nimi pić przy lada okazji. Wódka mu szkodziła, tracił przytomność, miał słabą głowę, może przez to, że ojciec bił go w dzieciństwie gdzie popadło, po rudawej łepetynie też.

Z warsztatów Ryśka Kabata wyleli. Chciał uprawiać sport, świetnie biegał, boksował, ale żaden klub nie kwapił się, by się nim zająć. Zabrakło tak zwanej siły przebicia, chociaż Kotkowski usiłował mu coś tam załatwić. Popracował trochę na poczcie. Ostatnio przykleił się do miejscowego klubu „Ruchu”, Oficjalnie nazywało się, że jest zastępcą kierownika. Faktycznie robił wszystko — otwierał klub i zamykał, sprzątał, reperował wiecznie nawalający telewizor, puszczał płyty, kiedy były tańce.

T wtedy właśnie, po dłuższej przerwie, znów przyszedł do Kotkowskiego. Jest paru chłopaków — powiedział — którzy tak jak on czują się wykopani na aut. Zbierają się czasami i gadają sobie o tym i owym. Kotkowski odparł, że chciałby posłuchać, o czym to oni tak sobie gadają. Rysiek przystał na to, ale nie zdradził miejsca spotkań. Kotkowski zaprosił więc całą paczkę do siebie.

Byli ze dwa czy trzy razy. Lubili siedzieć na podłodze, w przyćmionym świetle — najlepiej świec? — słuchać ekstatycznego, posepnego jazzu, w stylu soul i przerzucać się skąpo skargami na samotność wśród ludzi, których ich los nic nie obchodzi. Raz jeden z nich opowiedział, że nigdy już nie weźmie sobie dziewczyny, bo w osiedlu, w którym mieszkał i z którego uciekł, był taki zwyczaj, że kiedy chłopak robi „to” z dziewczyną pierwszy raz, przyglądała się temu cała rodzina i nawet sąsiadów zapraszano jak na widowisko.

Milczeli potem długo i ponuro. A później opowiadali, co by robili, gdyby na przykład posiadali dużo pieniędzy. Mieli po piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat, najstarszy? - który już „garował” — miał dwadzieścia dwa. Ich marzeniem była ucieczka od życia, w którym tkwili, a raczej ugrzęźli. Chcieli płynąć jachtem dookoła świata, wylądować na jakiejś samotnej wyspie, gdzie wolni i niezależni założycy mogliby własną społeczność, w której nikt nie będzie wyrządzać nikomu drugiemu krzywdy. No, a gdyby się to nie udało, dobrze by i w Bieszczady pojechać, w jakimś dzikim pustkowiu urządzić wspólne gospodarstwo. „Ale skąd na to dorwać forsz?” — ktoś zapytał. „Są na to sposoby” — mruknął czyjś głos z kąta. I urwał nagle. Jak gdyby go ktoś gestem albo szturchnięciem przywołał do porządku. Najbliżej Kotkowskiego siedział na dywanie, objąwszy chude kolana splecionymi dłońmi i oparłszy plecy o brzeg tapczanu, Rysiek. Blask świecy padał wprost na jego twarz, wyostrzał rysy, odbijał się w tych jego dziwnych, ni to szarych, ni to zielonkawych jasnych oczach, przez co zdawało się, iż jarzą się jaśniej od świecowego płomienia. Uśmiechał się dziwnie.

Dwa z tych spotkań z paczką Kabata Kotkowski nagrał po kryjomu na małym magnetofonie, ukrytym przemyślnie za firanką. Magnetofon był malutki, japoński, bardzo sprawny, przywiózł go sobie z zagranicznej wyprawy naukowej. Potem, gdy już wysłodził miejsce spotkań chłopców, schował magnetofon w krzakach i przykrył gałęziami. Pierwsza połowa taśmy zmarnowała się, pozostała niema — zanim się zesłi. Ale już na drugiej połowie z tej ciszy, jakby z zaświatów, zaczęły wypływać glosy, najpienię pojedyncze, potem

na przemian nakładające się na siebie i mijające się, rozgorączkowane i sprzeczące się. Mówili o tym, co zrobili przed godziną i o tym, co robić będą nazajutrz. Taśma skończyła się przed finałem narady, ale i tak Kotkowski miał to, co w pisarskim żargonie nazywa się „materiałem -bombą”. Miał początek opowieści, miał jej punkt szczytowy, brakowało tylko jeszcze efektownego zakończenia.

Tak sobie myślał, podchodząc ostrożnie ale spokojnie do miejsca, gdzie ukrył magnetofon. Sądził, że na miejscu zbiórki nikogo już nie zastanie. Las poszycie miał gęste, nikt go nie dostrzegł w zaroślach, oczekującego aż chłopcy się rozpierzchną. Ale pomylił się. W momencie, gdy sięgał po ukryty magnetofon, odezwał się tuż przy nim drwiący głos:

— Pan magister szpieguje. Nieładnie.

Nie odpowiedział. Cóż bowiem mógłby powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Przeczuł, że zaraz nastąpi atak i że musi się bronić. Uskoczył do tyłu i syknął:

— Odczep się, bo strzelam.

Zablefował. Nie miał przy sobie w tej chwili broni i żałował, że zostawił ją w dwom u. Ręką namacał w kieszeni płaszcza latarkę i wypchnął ją do przodu, udając, że strzelić może przez materiał.

Wycofywał się najpierw z wolna, tyłem, prawie już tylko po omacku. Potem odwrócił się i przyspieszył kroku. Zaczął biec, gdy dosłyszał za sobą tupot szybkich nóg Kabata. Ale oto już droga na skraju lasu i jego samochód, który tu przezornie pozostawił. Dosłyszał jeszcze poprzez szum zapuszczanego motoru, jak Rysiek krzyknął:

— I tak nic ci z tego nie przyjdzie, draniu! To po te taśmy, dowody działalności bandy, przyszedł. Rysiek Kabat dwa tygodnie temu do jego mieszkania.

Kotkowski mógłby milicję naprowadzić na ślad licznych włamań w Topolewie w ostatnich miesiącach. Oczywiście, skład paczki Kabata mógł ulec pewnym zmianom od czasu spotkań w mieszkaniu Kotkowskiego, ale po nitce dałoby się dojść do kłębka. Rzecz tylko w tym, że gdy magister Kotkowski dowody miał, to je zataił dla własnych, osobistych celów, w oczekiwaniu na jakiś efektowny finał. A to już sprawa prokuratorska, nie napomykając nawet o tak istotnym drobiazgu, jak etyka zawodowa czy odpowiedzialność partyjna. No i rzecz w tym, że teraz magister Kotkowski tych dowodów już nie ma. Mu je w rękę Rysiek Kabat i trudno nawet przewidzieć, co ten fantasta i narwaniec, upadły anioł, zamierza z nimi zrobić. Czy zniszczył je? Czy użyje ich przeciwko Kotkowskiemu, wplątując go w sprawę gangu? Jednego tylko Kotkowski był pewien, znając Ryśka Kabata: nikt mu ich nie odbierze siłą. Jeżeli milicja zastosuje metody ostre, nikt nigdy ani magnetofonu, ani tych taśm na oczy nie ujrzy. Ale człowiekiem, który potrafi Ryśka do ich ujawnienia doprowadzić, jest Groń. Zasiedziały w Topolewie, „swoją chłop” jak powiadają, jeśli nawet niekoniecznie lubiany przez niektórych, to szanowany przez wszystkich. Ten umie rozmawiać z ludźmi. Zawsze umiał. I z Kotkowskiego kiedyś duszę przecież wyciągnął. Czy Rysiek nie obiecał już Groniowi, że przyniesie te taśmy, żeby zilustrować, od czego to się wszystko zaczęło — i żeby wkopać Andrzeja Kotkowskiego?

Wstał z krzesła, schował nie dopitą butelkę koniaku do kieszeni kurtki, skinął Groniowi na pożegnanie dłonią i wyszedł bez słowa.

Gdy znalazł się już u siebie, nie położył się, i tak by już nic zasnął tej nocy. Usiadł w fotelu przy biurku, zapalił stojącą lampę.

Wzbierała w nim gorycz i nienawiść. Nienawiść do wszystkich i wszystkiego. I za wszystko, co mu się przydarzyło w życiu, a także za to, czego nie osiągnął. Mówił: poświęciłem najpiękniejsze młode lata budo-

waniu tego, cośmy wtedy nazywali nowym życiem w naszym kraju. Potem okazało się, że mnie okłamywano, a ja z kolei okłamywałem innych.' A teraz nowe życie wyrzekło się mnie...

I w tej chwili pojął, że mówi sam do siebie jakby echem chłopięcych zwierzeń, które rozbrzmiewały w- tym pokoju kilka miesięcy temu i które podstępnie sobie przywłaszczył, bo chciał sensacji i szmału. Wyszła szuflada biurka. Długo wpatrywał się w swoją starą „tetenkę”, której gładka czerń zabłysła kusząco w świetle lampy. Przekreślił kontakt, za oknem już świtało.

Kiedy Kotkowski wyszedł, Groń odetchnął z ulgą.

Podniósł się zza biurka, starannie umył szklanki i ustawił je w gospodarskiej szafce. Wyrzucił niedopałki do kubła. W pokoju było aż szaro od dymu: Kotkowski papierosa z ust nie wyjmując.

Podszedł do okna i jednym szarpnięciem otworzył je na całą szerokość. Z ogrodu buchnęło chłodne powietrze przedświt, przesycone mocnym zapachem jaśminu.

Stał w oknie, myślał, jak dogodny cci przedstawia teraz całą swoją postacią na tle oświetlonego pokoju dla kogoś, kto niedostrzegalny w mroku chciałby się na nim wreszcie zemścić. Czy jest ktoś taki poza na przykład Andrzejem Kotkowskim? Kiedy za literatem zamykały się drzwi posterunku, Groniowi w ułamku sekundy przemknęło przez myśl: Andrzej wie, że przegrał i nigdy mu tego nie daruje.

Gdy szarpnął ramę okienną zabolowało go przedramię, jak gdyby znów dosięgło je ostrze noża. Kiedy Marta wieczorem przyniosła mu termos z herbatą i kanapki, zmieniła także opatrunek. Rana nie była zbyt głęboka, nie krwawiła już, ale Groń musiał żonie solennie przyrzekać, że zaraz z samego rana pójdzie do ośrodka zdrowia.

Ta przypomniała skurczem bólu rana i ta ciemność za oknem, płytka ciemność czerwcowej nocy, wydołyły na powierzchnię świadomości Stanisława sprawę, której przez cały wieczór nie chciał dopuścić w sobie do głosu. Nie należała do rozgrywki z Ryśkiem Kabatem i jego kompanią. Należała do historii — tak mu się zdawało. Powtarzał sobie w kółko: „Nie, nie będę o tym teraz myślał. Nie dziś”. Sprawa jednak natarczywie domagała się pamięci. Zrozumiał: pomimo całej odmienności i przedzielenia czasem, między sprawą Ryśka Kabata i Antoniego Gronia istnieje taka więź, jak pomiędzy człowiekiem i jego cieniem. Tak właśnie można byłoby to określić: sprawa Ryśka jest jakby cieniem sprawy Antka. I to zarówno patrząc na nią ogólnie, jak i odczuwając tę współzależność osobiście. Różnica była tylko jedna: sprawa Kabata toczyła się publicznie, o sprawie zaś Antoniego wiedzieli tylko oni dwaj: on i Antoni.

Patrzył w mrok za oknem i przemknęło mu przez myśl, że właściwie nigdy nie bał się ciemności. Od dziecka. I po dziś dzień chadzał sobie „doliną nocy” jak po własnym gospodarstwie. Przydawało się to w partyzantce. Ale kiedy pierwszy raz strzelono do niego nocą wśród krętych topolewskich uliczek, już po wojnie, doznał prawdziwego wstrząsu.

Po tym błysku noc obsunęła się na niego całym swym ciężarem, ciemnym niebem bez gwiazd, zwartą kopułą wierzchołków wysokich sosen. Jakże to możliwe? Wprawdzie wojna jeszcze gdzieś tam dogasa wśród ruin Berlina, ale tu, w Topolewie, we wszystkich Topolewach od .Bugu aż po Odrę jest już pokój, nie poluje się na ludzi jak na zwierzęta. Każdy krząta się koło swych spraw, koło dobytku. Odbudowują swoje domy, swoje miejsca pracy, ogarnia ich stopniowo coraz większa gorączka pośpiechu, zapamiętania się, jak gdyby każdy chciał przeżyć (en nowy czas darowany mu przez los podwójnie: za terażniejszy i za tamten, miniony, podobny do koszmarnego snu albo niebytu.

Stanisławowi Gromowi pod wiosennym polskim niebem czterdziestego piątego roku przypadło miejsce w Topolewie. Tu przysłano go z kieleckich lasów i tu wraz z niewielką grupką ludzi miał pilnować, aby radość z odzyskanej wolności i zadatków pokoju wśród mieszkańców nie była przez nikogo naruszana. Ze spokojną ufnością Groń schował do kieszeni swoją nową legitymację zastępcy komendanta posterunku MO w Topolewie. zapiął kaburę, założył na rękaw opaskę, zarzucił na ramię pepeszkę i zaczął rozglądać się po swoim nowym gospodarstwie. W jasności dnia — istna sielanka, W starannie pielęgnowanych ogródkach rozkwiatały wiosenne kwiaty. Wzdłuż planty krzątali się kolejarze, remontując tory kolejki.

I wtedy rozległ się krzyk. Wśród zielonej dekoracji, gdy chciałoby się tylko wołać: „nadzieja, nadzieja”, ktoś biegł i krzyczał ostrym, świdrującym głosem:

— Policja! Ratunku! Policja!

Jeszcze nie nauczyli się mówić po nowemu.

Za przepierzeniem szkolnego baraku, na drzwiach którego ktoś wyrysował olejną farbą koślawy napis: „Kancelaria”, na kulawym stoiku siedział Ignacy Kraska. A właściwie nic siedział. Na wpół leżał. Górna część tułowia przylgnęła do stołu, który Kraska objął szeroko rozrzuconymi na boki ramionami, jak gdyby ktoś chciał mu ten stół zabrać, a on go bronił. Pod stołem i stołkiem, na podłodze z surowych, nie heblowanych desek świeciła się czerwono w ostrym blasku słonecznych promieni wielka kałuża krwi. Okno za plecami kierownika szkoły było otwarte na roścież. Stamtąd musiał paść strzał. Kraska już nie żył. Nikt nie widział nikogo, kto by się czaił koło baraku, na korytarzu dosłyszano tylko huk. Ale zabójca zadbał o to, aby wiadomo było, dlaczego zginął kierownik szkoły w Topolewie. Na zeszytowej kartce, leżącej obok głowy zabitego, nagryzmołono ołówkiem: „Za złamanie przysięgi żołnierskiej — Hetman”.

Groń poczuł wtedy, jak narasta w nim i podnosi się wysoka fala piekącego gniewu. Jeszcze nie tak dawno ten młody mężczyzna, prawie jeszcze chłopak, patrzył na niego dobrodusznie ciemnobrązowymi oczyma, które zabawne wydawały się przez to, że takie były okrągłe i takie ciemne. Ciemne miał także falujące włosy, twarz rumiana, puciołowatą, na pełnych, czerwonych wargach błąkał się łobuzerski uśmiech. Tym uśmiechem przełamywał wiele trudności. Zdobył barak dla szkoły i deski na jego poszerzenie, trochę niezbędnego sprzętu, książki, zeszyty. Za pośrednictwem Gronia wyprosił z wojska ciężarówkę do przewiezienia tego całego dobytku. Z chłopakami kopał piłkę na boisku, wspólnie uprzątniętym z gruzów po jakiejś spalonej willi.

W jednym tylko wypadku zapamiętał go Groń bez uśmiechu. Gdy spotkali się pierwszy raz. Kiedy Kraska ujawnił się i na posterunku oddawał broń. Było z nim jeszcze kilku. Oderwali się od oddziału „Hetmana”. Broń kładli na ławę niechętnie, z ociąganiem się, patrzyli na nią ze smutkiem, któryś miał w oczach łzy. „Hetman” — to coś mówiło Groniowi. Na rodzinnym Podlasiu był w czasie wojny oddział „Hetmana”. Mówiono, że to młody dziedzic z majątku, do którego podczas żniw i wykopków chodzili na robotę rodzice Gronia. Ale Groń nie poszedł do „Hetmana”, uciekł w Lubelskie, do stryja, i stamtąd z kuzynami do lasu, do Chłopskich Batalionów. Więc skąd „Hetman” pod Warszawą?

Pogrzeb Ignacego Kraski stał się wielkim wydarzeniem. Przyszły tłumy ludzi, by asystować przy pierwszym świeckim pogrzebie w Topotewie — ksiądz odmówił udziału w tej ceremonii. Przemawiali działacze z powiatu, z Warszawy. Orkiestra kolejarska grała marsza żałobnego, dzieci śpiewały „Jeszcze Polska”, kobiety popłakiwały. Teraz dopiero mówiono, jaki to był fajny, wesoły chłopak, jaki uczynny dla ludzi i żeby nie on, to jeszcze z rok trzeba by było czekać w Topolewie na szkołę.

Kiedy Stanisław Groń przypomina sobie tamten czas, ciarki przelatują im: po plecach. Przytulny mrok lasu, który tak lubił, zamienił się w groźną pułapkę. Jak gdyby pokazywał inną twarz, wykrzywioną nienawistnie, drwiącą z naiwnych nadziei Gronia, że skoro wróg został przegnany, nie trzeba już będzie do niko-

go strzelać w tym kraju. Lasy nie tylko otaczały Topolewo ciasnym pierścieniem, wchodziły swymi drzewami i zaroślami w głąb osiedla; to właściwie osiedle wbudowało się w las. Wprawdzie Kraszkę zastrzelono w dzień, ale w zasadzie dopiero zmierzch i noc stanowiły sceneryę, w której zaczynało dziać się to, co było tak sprzeczne z naturą lasu: nie zwierzęta na zwierzęta, nie ludzie na zwierzęta, ale ludzie polowali na ludzi. Wychodzili stamtąd, może nie tylko ze swych leśnych kryjówek, może także udawali się tam na zbiórki o zmroku ze swych domostw — i nigdy Groń ani jego ludzie nie wiedzieli, czyja twarz kryje się za rozblyskim wystrzału. Może to kłós, z kim rano pili piwo przy kiosku na stacji. Mnożyły się zamachy i napady. W niedalekiej wiosce zabito mierniczego, który dzielił folwarczną ziemię, w sąsiednim osiedlu rozgromiono posterunek i lokal partyjny. Instruktora z powiatu, wracającego już po ciemku gazikiem do miasta, wyciągnięto z samochodu, gdy mija! gesty młodniak i podziurawiono jak sito.

A jednak ktoś się odważył i potajemnie dał znać, że w prywatnej knajpce „Pod Bachusem” ucztuje właśnie w komplecie sztab oddziału „Hetmana”, świętując jakiś kolejny sukces, a przy okazji obchodząc imieniny wodza, gdyż miał Jan na imię, noc zaś była świętojańska. Śmiało sobie poczynali. Wiedzieli, że mówić się o tym będzie w Topolewie tygodniami, jak to pod bokiem ludowej władzy „Hetman” imieniny obchodził.

Tych z milicji było trzech: Groń, Władek Nowacki i Jasiak Barwina. Musieli się rozdzielić. Nowacki obszedł pawilonik knajpy i zaczął się od tyłu. Barwina pognął na posterunek, by dzwonić do bezpieczeństwa i ściągnąć odsiecz. Groń stanął po drugiej stronie drogi przed wejściem, obserwując drzwi.

I wtedy właśnie wyszedł z nich Antoni. Antoni—jego brat młodszy i jedyny. Wyszedł prosto na niego, lekko zataczając się po pijanemu, może za potrzebą, a może wysłał go „Hetman” z jakimś poleceniem. Przeszedł przez jezdnię i stanął o krok od Gronia. przysłoniętego gęstym krzakiem jaśminu. Groń bez chwili namysłu przystawił mu pepeszę do piersi i mruknął:

— Ani słowa. Milcz, bo strzelam. Prowadząc go końcem lufy jak złapaną na wędkę rybę. popchnął w przydrożne zarośla bzu, żeby nie było ich widać w smudze światła, padającego przez otwarte drzwi knajpy.

— To ty z nimi? — spytał głosem, który nagle wydał mu się obcy.

— A jak?! Pewnie, że z nimi. Ty sprzedawczyku. Zdrajco — zamamrotał chłopak. Nie miał wtedy więcej jak siedemnaście lat. W słowach jego brzmiały złość, pogarda, ale chyba także lęk.

Groń całym ciałem przycisnął brata do grubego pnia sosny. Całym sobą poczuł szczupłą chłopięcą postać, kościstą, jeszcze w barach nie rozrośniętą, o mięśniach już twardych, ale jeszcze nie tak rozwiniętych jak jego własne — i przeniknął go bolesny dreszcz. Dzieciństwo, młodość otworzyły się jak jakaś przepaść pod nogami. To, co trzymał teraz w żelaznym uchwycie ramienia, nie wypuszczając z drugiej ręki pepeszy, było takie bliskie, rodzone, było jak gdyby nim samym, tylko że poruszającym się osobno. Młodszego o osiem lat Antka kochał z bezgraniczną czułością, chociaż nie zdawał sobie z tego nigdy sprawy.

Zacisnął zęby. Chciało mu się wyć. Krzycheć na cały las: „Nie, nie, nie!” To nie może być, żeby on zabił Antka, albo żeby mu go zabił kto inny. Poczul, że mały portki ma mokre. Złał się. Zwyczajnie. Albo z przepicia, albo ze strachu.

— Spietrałeś się, ty gówniarzu.

— Będę krzycheć. Zastrzel mnie, no zastrzel — pisnął Antek histerycznie.

— A zastrzele, żeby cię święta ziemia nie nosiła. Wojaczka ci zapachniała, już zapomniałeś, jak gnój na matczynym polu śmierdzi? Samą ją zostawiłeś, tak? Twoja rzecz z paniczykami po lasach się włóczyć i strzelać do takich jak ja, jak ty? Twój interes panu dziedzicowi buty lizać? Co?

Antoni milczał. Jego sprężone, napięte jak cięciwa łuku ciało wiotczało powoli.

— Kiedy mówią, Stasiek, że to nie ta Polska. Nie taka, jakiej nam trzeba.

— Co ty wiesz, szczeniaku. Dużo z tego rozumiesz.

— A ty rozumiesz? — spytał Antek hardo, zaczepnie.

— Może i nie wszystko. Ale wybrałem to, co mnie się widzi dobre. Tylko że gówno z tego, dopóki tacy jak ty dają się za nos wodzić jakimś tam „Hetmanom”. Który z was Kraszkę zabił, nauczyciela tutejszego, mów!

Teraz, po trzydziestu latach, przypominając sobie tamten mroczny spór, Groń wie, że odpowiedź miał gotową: Antek drgnął i znów skamieniał. Groń był jednak zanadto rozgorączkowany: nie zwrócił uwagi na reakcję brata. Nie widział jego twarzy. Słyszał tylko głos, który rzucał z wściekłością słowa:'

— Nie ja! Nie wiem! Szukajcie sobie aż do zaszrajnej śmierci. Należało mu się. Był wyrok. Dezerter. Szpicel...

— Milcz, bo cię zatłukę! — warknął Groń. — Zapomnę, żeś mój brat. A teraz wiesz, co ci powiem? Zmiataj stąd i to co sił. Zaraz tu będzie wojsko i bezpieka. Jesteście otoczeni. A ja tobie darowuję życie. Nie żeś mój brat, ale żeś głupi gnojek.

— Nie. — mruknął chłopak. — Byłbym za zdrajcę.

— U kogo? Oni już wszyscy, ci, co tam chleją — trupy. Zaraz będą trupy. Albo, jeżeli przeżyją, do mamra pójdą siedzieć. Głęboko i na długo.

— Nie, nie... Nie chcę... — chlpał Antek.

Wiatr poruszył liśćmi i skrawek światła docierającego z okien i drzwi knajpy przesunął się po twarzy Antka. Groń dostrzegł duże, dziecinne łzy, które ściekały po policzkach brata. Nie ma ani chwili do stracenia. Sprawny słuch Gronia wyłowił wśród głuchego poszumu sosen warkot motoru. Nadjeżdżają.

— Won! Powiadam ci, won! Precz, no, do mamy. I żeby cię na oczy nie widział.

Było coś takiego w tonie Stanisława, że Antoni się poddał.

— My jeszcze się z tobą spotkamy, nie myśl...

— A pewnie. Pewnie. Zmiataj. I żadnych takich rzeczy więcej, słyszysz?

Za Antkiem zamknęły się zarośla jak kurtyna za aktorem, który odegrał już swoją rolę. Gronia dobiegł oddalający się cichy tupot przyspieszonych kroków. A na drodze już pojawiły się cienie. Pomykały szybko, tyralierą, bez hałasu. Tych w środku można wziąć tylko przez zaskoczenie. Niewielka, mała ta odsiecz — ale zawsze odsiecz. Za chwilę las grzmiał od wystrzałów. Drzewa podawały ich odgłosy drzewom, uliczki uliczkom, ciemna ziemia ciemnemu niebu. I był koniec oddziału „Hetmana”, ale wtedy też zginął Włodek Nowacki, żelazny facet, serdeczny kumpel.

Nikt, nigdy nie dowiedział się o przestępstwie Stanisława Gronia. „Hetman” był dobrym konspiratorem, jego ludzie znali się między sobą tylko z pseudonimów. Wyłapanie w leśnych poniemieckich bunkrach resztki oddziału były zupełnie zdezorientowane. Niedobitki, szeregowcy, nie umieli — albo i nie chcieli powiedzieć, czy to już wszyscy, ci martwi z „Bachusa” i oni, żywi, czy może jeszcze ktoś chodzi na wolności, ktoś, komu udało się uciec. Stanisław Groń stoczył wtedy jedną z najcięższych walk w swoim życiu. Ze

swym własnym sumieniem, z poczuciem wierności wobec władzy ludowej, wobec swoich obowiązków. Jakże to tak — mówił sobie po nocach, z których każda była od początku aż do białego rana bezsenna — puściłem wolno wroga. Człowieka „Hetmana”. Rozgrzeszyłem go. Jakie miałem do tego prawo? Że rodzony brat? Że po prostu głupi, otumaniony? Władza powinna go była osądzić, zważyć sprawiedliwie jego grzechy i jego słabość. Że znam go i wiem, iż nic pójdzie już więcej do żadnej konspiracji, bo za słaby na to, za miękki i dostał za swoje? Powinno się — mnie za zdradę i niesubordynację rozwalić. Ale ja chcę żyć, ja teraz dopiero wiem, co to znaczy żyć i robić co, co uważam za potrzebne dla ludzi. Ksiądz by powiedział, gdyby to chodziło o jakiś inny. ale też ciężki grzech, że muszę to odkupić, odpokutować. Spróbuję. Muszę spróbować, chcę tego.

Tak do siebie przemawiał, raz z przekonaniem, że ma rację, kiedy indziej bez przekonania, miotając na siebie najgorsze obelgi. I w końcu nie zameldował przełożonym o swojej zdradzie. A może to była zwyczajnie słabość. Zwykły strach przed karą, przed konsekwencjami? Wtedy właśnie ożenił się z Martą. Marta spodziewała się dziecka. To przeważyło. I cóż takiego właściwie się stało, że puścił smarkacza, który wielkiego znaczenia w oddziale przecież nie mógł mieć. Zamiast gnić w więzieniu albo dać głowę, będzie siał. orać na matczynym gospodarstwie, chleb ludziom potrzebny. Może będzie jeszcze z niego człowiek.

I tak pozostał Groń ze swoim ciężarem na sercu i sumieniu, lecz lata nie zabiły nigdy niepamięcią tamtej czerwcowej nocy. Coś z tego jednak obróciło się i na dobre. Tamtej nocy jakby dojrzał wewnątrz. Przekroczył wysoki próg. Ulotniły się zawadiacka czupurność, wesołe gadulstwo, częsta porywczność i pochopność w działaniu. Nieco pochmurny, ale zawsze spokojny, opanowany, rzeczowy i sumienny, zaczął się niebawem liczyć w kadrach. I nigdy nic chciał odejść z Topolewa. żaden awans go nie nęcił prócz jednego — że został komendantem posterunku po przejściu na emeryturę poprzednika. Tak. jak gdyby miał tu jeszcze coś do załatwienia, jakieś sprawy nie dokończone, na których zamknięcie przyjdzie jeszcze czas. I z tych jego przeżyć i przemyśleń brał się zapewne także jego stosunek do ludzi, owo zaufanie, jakie u nich zdobył.

Nie miał czasu jeździć do odległej podlaskiej wioski. Nie miał też więc okazji widzieć Antoniego, jak się zagospodarowuje w matczynym obejściu. Antoni nie pisał do niego, od czasu do czasu matka dawała tylko znać Stanisławowi, co się w domu dzieje. Od niej też dowiedział się, że Antek ożenił się z córką sąsiadów, że urodziła się Antoniemu córeczka. Ale po paru lalach „wstąpiło w niego złe”, jak to określiła z żalem matka. Zaniedbał gospodarkę, bił żonę, stale się upijał. ubliżał matce. Wreszcie rzucił wszystko, opuścił wieś. Nosił go po Polsce. Póki żyła jeszcze Magda i dopóki matka nie umarła, docierały do Stanisława urywkowe wieści o bracie. Podobno wściekał się, gdy dowiedział się, że Stanisław zabrał Ewkę do siebie. Krzyczał, że Stasiuk ukradł mu dziecko. W Topolewie się jednak nie pojawił. Na całe lala słuch o nim zaginął.

Groń byłby go dziś nie poznał, gdy po południu wytoczył się na niego z zarośli lasu, przez który Stanisław zawsze skracał sobie drogę do domu.

Po rozprawie z Kabatem postanowił wpaść na obiad, by zaraz potem wrócić na posterunek i czekać. Czy może człowiek tak zmarnieć, tak się postarzeć, że rodzony brat w pierwszej chwili go nie poznaje? Gronia przeraził wygląd Antoniego.

W chudej, poszarzałej twarzy paliły się gorączką oczy. które dawno już straciły swój intensywny niebieski kolor, spłówały i zblakły, spod spuchniętych powiek rzucały nieufne, złe spojrzenie.

Przerzedzone włosy zmierzwionymi szpakowatymi kosmykami oblepiały czaszkę. Nędzne, przybrudzone ubranie, rozlatujące się buty na nogach.

Cały Antoni był wyszarzały, odbarwiony. Sponiewierany strzęp człowieka. I znów, jak trzydzieści lat temu, było pusto dookoła nich, był las i byli tylko oni dwaj naprzeciwko siebie, pełni zapiekłego żalu.

— Antek... —wyjąkał Groń.

—Witam brata — zabelkotał Antoni. Czekałem tu na ciebie. Wiem, że tędy chadzasz, ty, obrońco władzy ludowej... Zarechotał złośliwie.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Groń i pomyślał: „Że też dziś akurat...”

Antoni mówił rozwlekłe, po pijanemu:

— A byłem tu w odwiedzinach parę razy. Ino śmiałości nie miałem, żeby wejść. Za wysokie progi dla takiego oberwańca. Jeszcze byś mnie zapudłował. że włóczęga... Chociaż może i nie. Tobie, gliniarzowi, nie honor, żeby brat garował. Pamiętasz? Była już raz taka sprawa. Pewnie przez to mnie puściłeś.

— Daj spokój — mruknął Groń. Powoli odzyskiwał równowagę. —Czego chcesz? Za rodziną się stęskniłeś, czy jak? Rychło w czas.

— Mamy coś niecoś do pogadania, no nie? — Ton głosu Antoniego stawał się coraz bardziej zaczepny.

— To chodź do mnie do domu.

— O, co to. to nic. Tam twoja Marta placki smaży, syneczek nos w telewizor wsadził, a moja córca książeczkami się obłożyła, że łba jej nie widać. Przerobiłeś już ty Ewkę na swoje kopyto. Pewnie by się do mnie i przyznać nie chciała, do takiego ojca z bandy, jak mówicie. Nie chcę wachać twojego rodzinnego smrodu.

— Nie chcesz, to nie. A Ewką kto miał się zająć, jak ty Magdę do grobu zapędziłeś, a sam czort wie gdzie się podziałeś. Bywaj zdrow. Jak widać, nam nie po drodze. Chyba że czegoś potrzebujesz, to mów. Co będę mógł...

—Wypchaj się ze swoją pomocą. Jak mi przyjdzie żebrać, to nie u ciebie, nie bój się. Ale rachunki trzeba wyrównać. Rozliczmy się.

— Z czego?

— A z tego najsampierw, że moje życie zasrane to twoja sprawka. Tchorza ze mnie zrobiłeś, tam. w lesie. wtedy. Dezertera. Wlokło się to za mną jak jaka kłoda do nóg przytroczona. Zgniół! Zawsze to czułem w sobie, ot, tu! — grzmotnął się z całej siły w pierś. — Jak ja mogłem tak żyć? Robota do rąk nie szła, wszystko mi z nich leciało. Piłem... no... piłem. Żeby zalać ten smród we mnie. Nic ty nie rozumiesz. Co ty możesz o tym wiedzieć, ty... bohaterze z czerwonej łaski.

—A co ja wtedy miałem zrobić, zastrzelić ciebie, czy jak?

— A tak. Właśnie tak.

— Oszalałeś? Bzdury pleciesz. Możliwość ci dałem, szansę, rozumiesz? Chciałem, żebyś mógł wrócić, jak inni, do normalnego życia. Przecież byli tacy jak ty. co powracali do rodzin, za robotę się wzięli. Albo do nauki. Mają domy, rodziny, szacunek u ludzi. Nawet stanowiska.

— A ilu ziemię gryzie, nie policzyłeś? — Antoni mówił teraz hardo, jak gdyby z poczuciem wyższości. Wyglądało na to. że trochę wytrzeźwiał. Na moment pobłażliwy ni to półuśmiech, ni to grymas prze-

mknął przez nie ogoloną twarz.— Ech, Stasiek, Stasiek... Tobie wciąż te haselka w głowie. Te bajdy, jak kiedyś. Ty wciąż jeszcze w to wierzysz, stary durniu? Niczego cię życie nie nauczyło? Bo mnie nauczyło...

— I czegoż to cię życie nauczyło? — spytał wyzywająco Groń.

—Tego, Stasiek, że nie wystarczy dać ludziom jako tako żyć, ubrać się, a na papierkach wypisywać różne mądre prawa. I mówić aż do znudzenia, jak to u nas fajnie. Ty siedzisz w tej swojej dziurze, nosa z niej nie wyścibiasz. A ja całą Polskę obszedłem, jak długa i szeroka, wiesz? To prawda, pobudowaliśmy się, jak się patrzy. Sam robiłem na różnych budowach, w gnoju po kolana, na mrozie, na skwarze. I w Turowowie. I w Północnym Porcie. I gdzie tam jeszcze. Aż sobie kulasy połamałem, jak z rusztowania spadłem. No to dali mi te tysiąc z kawalkiem renty inwalidzkiej i spieprzaj, bracie. Zapytał kto. czy mam gdzie iść, jak będę dalej żyć? No widzisz, widzisz. Miasta się budują, i fabryki, i samochodów na drogach nie zliczysz. Ale my, ale ludzie... Czy kto o nas myśli? Jacy my jesteśmy. Co się z nami stało. Co myślimy. Czego nam do szczęścia potrzeba. I już nawet nie do szczęścia, zwyczajnie do tego. żebyśmy byli ludźmi jak należy. Jacy są ci ludzie, co w tych mrowiskach mieszkają? Wiesz, czy nie wiesz?

— Może i wiem, a może nie wiem. Może wszystkiego nie wiem — odparował sucho Groń i pomyślał: „Ale się wycwaniał ten Antek”. Chciał uciąć daremny spór, więc dodał twardo: Moja rzecz w Topolewie porządku pilnować. Złodziei łapać, chuliganów krótko trzymać.

— Chuliganów, powiadasz... —Antek natarczywie nie dawał za wygraną.— Chuliganów! A kto są ci chuligani? Ludzie. Tacy jak ty. czy ja. Skąd oni się biorą, jeżeli już niby wszystko w tej twojej Polsce załatwiłeś? I pijacy. I złodzieje. I kurwy. I łapownicy. I ci, co forsę robią i na niej siedzą. Kanciarze. Oszuści. Mówiłeś mi wtedy w lesie: „Ja wybrałem”. I że mi życie darujesz. Tak było. prawda? Wychodzi na to. że od ciebie mam tę Polskę i moje życie. Więc ty odpowiadasz za to, że jest jak jest. Idź do tej swojej Polsce, napodziwiaj się. Kto mocno na stołku siedzi, ino rozgląda się, gdzie by tu sobie domek machnąć, żonę odmłodzić, samochód mieć, za granicę się wyrwać. A chociażby w takiej Bułgarii byłeś choć raz?

— Nie byłem.

— I w rozwalającej się chałupie siedzisz, jak siedziałeś. Frajer, mówią o tobie. Stary głupiec. Mówiłeś wtedy o dziedzicach. Że nam z nimi nie kompania. A idź ty do byle jakiego urzędu, spróbuj coś załatwić. Spójrz se, ile tam wielko państwa siedzi i komenderuje, i biednym, małym człowiekiem pomiata. I nie oglądnie się nikt, czy to ludziom w smak. czy nie. To ty po to walczyłeś, po to „Hetmana" i innych zaciukałeś, żeby mnie teraz pannice z manikiurem, co to jeszcze niedawno krowy doiły i z pięt im jeszcze gnój nie pospadał, okienko przed nosem zatrzaskiwały i posyłały od Annasza do Kajfasza? Chociażby w takim ZUS-ie. Albo o to może się starałeś, żeby inne. też z chałupy, jak ty czy ja, w marmurowych basenach tyłki sobie moczyły? To tak miało być, czy inaczej, powiedz. No. mów coś. czego milczysz?

Groń ocknął się. Rzeczywiście, dlaczego pozwala, żeby ten złamany — może naprawdę nie tylko z własnej winy — człowiek bluzgał stekiem przekleństw i oskarżeń na to, co na pewno nie jest ideałem, co może i szczyt ma głębokie, ale jest przecież jakimś wielkim trudem zmagania się z różnymi przeciwnościami losu, posuwaniem się choćby o jeden krok, choćby o dwa ku przodowi, ku lepszemu. Zebrał się w sobie i odpalił szorstko:

—Wiesz co, Antek, nie tobie rachunki Polsce Ludowej wystawiać. Myślisz, że i dziś nie ma takich w kraju i gdzie indziej, co nam kamienie pod nogi rzucają, jak kiedyś twój „Hetman" i jego ludzie, i tacy jak ty? Mówisz o brudach, tylko o brudach. Brudna piana zawsze po wierzchu pływa. Spłynie, nie bój się. Jeszcze tak będzie, jak byc miało. Ale to nie na twój rozum.

— Nic nu mój rozum, powiadasz? Mam ci ja go teraz więcej, niż wtedy, kiedy mnie na lufie trzymałeś. Tylko widać różne mamy rozумы. I na mój rozum, to ja ci tamtego ani zapomnieć ani darować nic mogę. Nic mogę i nic chcę. Zcbym mógł zdechnąć spokojnie. z czystym sumieniem, rozumiesz... Jak mi ksiądz kiedyś nakazywał: „zamazawszy winy... Pokutę muszę, słowem, odprawić za moją zdradę. I pomścić muszę tamtych... moich... „Hetmana" i innych. Na tobie. Na tobie!

Wykrzyknął to swoje dwukrotne „na tobie" ostrym, nieswoim głosem i w jego ręku błysnął nóż.

Tego Groń się nic spodziewał. Uratował go refleks, wyrabiany latami. Poza tym był silniejszy, zawsze był silniejszy, masywniejszy od Antoniego. Jednym kopnięciem podbił mu nogi i brat runął na ziemię. Zdążył jeszcze tylko przebić Stanisławowi mięsień przedramienia czubkiem ostrza. Nóż, sprężynowiec, wypadł mu z dłoni. Leżał obok niego na wyboistej od korzeni leśnej ścieżce i świecił złowrogo w promieniu słońca, przenikającym przez korony sosen. Stanisław podniósł nóż i pochylił się nad bratem. Potrząsnął go za ramię, ale ten ani drgnął, przywarł ciasno do ziemi, jak gdyby zapragnął zrosnąć się z nią w jedną płaszczyznę.

— Wstawaj — szepnął Groń. — I co ja mam z tobą zrobić. Antek?

Antoni dźwignął się t wysiłkiem i mruknął ponuro:

— Co chcesz, to zrób. Możesz zapudłować, jak ci zależy. Garowałem już, nie nowina mi. Pasowałyby nawet; „dwa lata jak dla brata"...

Stanisław podciągnął rękaw kurtki, wyjął z kieszeni chustkę i przewiązał nią krwawiące miejsce. Chustka natychmiast zabarwiła się czerwienią. Antek patrzył beznamiętnie. Lekko wzruszył ramionami i zaczął powoli oddalać się w stronę stacji nieco chwiejnym krokiem.

Groń schował nóż do kieszeni i poszedł w stronę domu. Marcie powiedział, że rozbrajał bijących się chuliganów i nadział się przypadkowo na ostrze, przeznaczone nic dla niego.

Marta z powątpiewaniem pokiwała głową. Dla porządku pogderała zakładając opatrunek:

— Jeszcze cię kiedy stukną w tym lasku, zobaczysz. Nie możesz to normalnie ulicami chodzić, jak ludzie. Albo kazać, żeby radiowóz cię odwiózł, kiedy ci się spieszy?

— Rzeczywiście! — naburmuszył się Groń i syknął, nie był odporny na ból. a poza tym nie lubił takich babskich zachodów koło swojej osoby. — Radiowóz na posterunku musi stać. To nie limuzyna jaśnie komendanta. A co to, Bogdan znów w domu, nie w szkole? Chory biedaczek, czy klasówka z polskiego?.

Wiedział, jak odwrócić uwagę żony od niemiłej dla niego indagacji. Zareagowała natychmiast, Bogdanek był jej oczkiem w głowic:

— Nie krzycz na dziecko. Gardło go boli. Przecież wiesz, jak łatwo chłopak łapie anginę.

— Baba, a nie chłopak. Mazgaj. Rozpieściłaś go i tyle. Jak byłem taki jak on. buty dwa razy w roku na nogi kładłem, w wielkie święta do kościoła.

Ewka zapobiegła dalszej wymianie zdań na temat wychowywania mazgaja. Rozstawiając talerze na stole, wtrąciła się:

— Stryjku, nie wpadłbyś wieczorem do szkoły?

— A bo co?

— Mamy dziś ostatnią próbę.

— Próbe? Czego? Wciąż jeszcze stał na leśnej ścieżce, spierał się z Antonim, serce waliło młotem po szamotaninie, która w jego już wieku... A może to ten upływ krwi. Ręka teraz dopiero boli. bo na początku nic prawie nie czuł. W głowie szum, myśli mącą się. Czego chce od niego ta dziewczyna, taka podobna do swojego ojca z tymi wielkimi niebieskimi oczyma i szopą jasnych włosów, za co kochał ją zawsze bardziej niż obu rodzonych synów? Tylko charakter miała nie po Antonim, chwiejnym jak trawa na wietrze. Była mocna — po babce chyba, ale najbardziej po stryju Stanisławie. Antek miał rację, kiedy wołał, że Stanisław mu córkę ukradł. Nie należała już do Antoniego. Wychował ją po swojemu, rozumieli się często bez słowa. Ewka nie miała przed stryjem tajemnic, on miał wobec niej tylko jedną, sprawę Antoniego, jej ojca. Wiedziała o nim tylko tyle, że porzucił rodzinę i zawieruszył się gdzieś w świecie, a może już nie żyje. Gorzko jej było żyć z tą świadomością, ale z rodziną stryja zrosła się mocno. Tu był jej prawdziwy dom. Po ukończeniu Studium Nauczycielskiego nie chciała nigdzie wyjeżdżać z Topolewa. Uczyła w topolewskiej szkole historii i chyba była szczęśliwa, jakaś nieudana, bardzo młodzieńcza miłość trzymała ją z dala od marzeń o małżeństwie i własnym domu. Teraz mówiła coś do Gronia z wielkim ożywieniem, ale sens jej słów dotarł do niego dopiero, kiedy padło słowo „Kraska”.

— Co? Co? Powtórz, Ewka, jeszcze raz, bo jakiś taki jestem dziś skołowany, że nie zrozumiałem.

Popatrzyła na niego z uwagą i zdziwieniem, i powtórzyła:

— Przecież rozmawialiśmy już o tym kilka razy. Pojutrze jest akademia na zakończenie roku szkolnego. I uroczystość nadania naszej szkole imienia Ignacego Kraski. Akurat przypada trzydziesta trzecia rocznica jego śmierci. Zebraliśmy dużo wspomnień od różnych ludzi, którzy go znali, będzie z tego ładna część artystyczna. No i ty przecież leż zgodziłeś się, że powiesz parę słów. Miałeś obejrzyć jedną z prób, sprostować, gdyby coś się nie zgadzało. Ale ty nigdy nic masz czasu. Więc dziś wieczór jest ostatnia okazja.

„Do diabła” — pomyślał Groń. „Żo też to wszystko musiało się tak pogmatwać. Kraska i »Hetman«, i Antoni, i teraz ta dziewczyna, dla której byłem zawsze wzorem cnót. Co by powiedziała, co by zrobiła, gdyby do niej dotarła cała prawda? Jak by mnie osądziła? Jak długo u nas takie Ewki będą pokutować za winy swoich ojców? Przeklęta sprawa”. Mruknął z zażenowaniem, pocierając ręką czoło:

— Kiedy widzisz, Ewka, dziś nie mogę. W żaden sposób. Mamy taką sprawę na posterunku...

— Aha! — wyrwał się Bogdan. — Sprawa Ryśka Kabata. Tato, czy to prawda, że tato go puścił na słowo honoru?

Bogdan przechodził mutację i głos łamał mu się po chłopięcemu, ale łatwość wymowy raczej przemawiała przeciwko anginie.

— Nie twoja sprawa. Nie wtrącaj się! — huknął na niego Groń. — Ewka, daję słowo, że nie mogę do was przyjść dzisiaj wieczorem. Jutro przed południem, dobrze?

Będzie miał czas: całą noc na przemyślenie tej przeklętej sprawy. Że też wcześniej nie zastanowił się, kiedy zaczęto mówić o nadaniu, szkole imienia. Ignacego Kraski. Tak daleko odsunęły się bieżące dni od tamtych zdarzeń, że czas miniony wydawał mu się czasem umarłym dla terażniejszości. A zwłaszcza dla młodych, dla takich jak Ewka. Na świecie ich nie było, kiedy umierali Kraska i „Hetman” i dopiero dziś, po spotkaniu z Antonim Groń uświadomił sobie, że nie ma wydarzeń nieodwołalnie przekreślonych. Nie tylko w przyrodzie nic nie ginie, jak się powiada potocznie. Nie ginie leż nic w historii narodu, nic ginie nic, KO przydarza się w ludzkim życiu.

Ewka westchnęła:

— No dobrze już, dobrze, stryjkę! Ale żebyś wiedział, wsadzę cię jutro siłą do radiowozu i zawiozę chłopcy jeńca pod szkołę. Jak będziesz stawiać opór poproszę Bielskiego o pomoc.

— Też mi coś -- burknął niechętnie Groń. — Pomocnika sobie znalazłaś. A może on ci się podoba, co, córciu? Taki elegant. I uczony.

Powiedział to tak sobie, z przekory. Pochylony nad talerzem nic zauważył, że-jasną twarz Ewki oblał ciemny rumieniec.

Krótką czerwcowa noc zaczęła powoli nasiąkać jasnością przedświt. Nad koroną lasów załopotwały gawrony, z jakichś najdalszych leśnych połaci niósł się samotny odzew kukułki. W ludzkim świecie panowała jeszcze głęboka cisza, jak to bywa przed świtem, nie było jeszcze słyhać ani gwizdu, ani turkotu kolejki, gdzieś tylko, tak jakby za torem, może na podwórku parceli Kotkowskiego, ktoś próbował uruchomić samochód i szło mu to opornic. Groń wzruszył ramionami: co go to obchodzi, dokąd wybiera się przed świtanem, właściwie jeszcze w połowie nocy, ten życiowy bankrut? Groń i tak ma o czym myśleć, bo oto dochodzi już do krańca swojej doliny nocy, wprowadzi go ona lada moment w nowy, jasny dzień, który nie będzie łatwy.

Przed wszystkim Groń myśli wciąż jeszcze o Antonim. Jest to tak, jak gdyby ten człowiek, któremu nie udało się Gronia zabić i który powlókł się, nie zatrzymywany przez niego w stronę stacji, ciągle jeszcze był przy nim obecny. Dokąd poszedł? Co z nim dalej się stanie? Groń robił sobie gorzkie wyrzuty: czy naprawdę nie umiał znaleźć we właściwym momencie argumentów, którymi obaliłby cały tok rozumowania brata? Gorycz przegranej jest na pewno złym suflerem. Podpowiada czasem złe, niesprawiedliwe osady. Rodzi agresywność. Powinien był mimo wszystko zabrać Antka do siebie, do domu. Ewka. Trudno, i tak się kiedyś dowie, nie dziś, to jutro. Dlaczego Groń tego nie zrobił? Czy nic dlatego, że Antoni, los Antoniego, upadek Antoniego były lustrem, w którym odbijała się wina Stanisława Gronia? Czy bał się oskarżeń, którymi ciskał w niego Antoni? A może — jeszcze bardziej gorzko: może uważał, że w tym, co krzyczał Antoni, nie brak prawdy? A gdyby tak było — to jaki sens miała walka Stanisława sprzed lat. uparte trwanie przy swoim, i wieloletnia harówka? Nic. to być nie może. żeby Antoni i jemu podobni — bo takich przecież nie brak - mieli rację. Droga do poprawy bo wszakże jest co poprawiać w tym kraju — wiedzie nie przez łamanie ludzi, coraz surowsze nakazy i zakazy, przez przymus i szermowanie spowszedniałymi hasłami. Ona wiedzie przez zaufanie. Przez wiarę w ludzi, w ich dobrą wolę. Przez budzenie w nich tej dobrej woli. Trudna to droga. Ale niechby tylko zacząć nią iść. Wprawdzie Groń robił to jeszcze przed ostatnim spotkaniem z Antonim, ale ich spór to przecież stara kontrowersja. Mniej czy bardziej uświadamiany spór z Antonim rządził życiem Stanisława, jego decyzjami, jego postępkami. I to ostatnie posunięcie, które tak wszystkich zaskoczyło, zaufanie, jakim obdarował hojnie Ryśka Kabata, stąd się wzięło.

Jak rozwinię się. jak przebiegnie sprawa Ryśka Kabata, kontratak Gronia wobec Antoniego, wobec wszystkiego, co małoduszne, małowierne, wątpiące i zgorzkniałe? Czy przyjdzie tu rano chłopak, który dał Gromowi słowo, iż wróci, a Groń mu uwierzył, że tego słowa dotrzyma? złapali go przypadkowo i cały posterunek uznał ten fakt za niebywały sukces. Rysiek, od pewnego czasu ukrywający się skutecznie król okolicznych włamywaczy, w kajdankach - sensacja nic byle jaka.

Siedział przed Groniem w wytartych do białości dzinsach i przyciasnej kurteczce, spod której wyglądała przybrudzona koszulka polo, na brzeżku krzesła, złożywszy grzecznie ręce na spiczastych kolanach, jak przykładowy uczeń na lekcji surowej nauczycielki. Uśmiechał się arogancko i spoglądał ironicznie swoimi dziwnymi, mieniącymi się oczami.

— Panie władza, to pomyłka, słowo daję.

— Nie opowiadaj. Kabat. My już dawno wiemy, kto te kradzieże organizował, tylko świadków nie mieliśmy. A teraz mamy. Obywatelka Zofia Firlejowa ciebie rozpoznała. Podczas ostatniego skoku na Kwiatowej natknęliście się na nią, a ona zaświeciła latarką. I zapamiętała akurat ciebie.

— E tam, stara, nie dowidzi.

— Ja stara? Ja nic dowidzę?! - zaperzyła się starsza pani, siedząca pod ścianą i czekająca na spisanie jej zeznań. Miała dobrze po sześćdziesiątce, ale trzymała się dziarsko. Kiedyś uczyła w szkole w Topolewie. i darła chłopaków za uszy, gdy rozrabiali. Poza tym była wymagająca, ale sprawiedliwa. Nie robiła różnicy pomiędzy wychuchanym wnuczkiem pani Niedzińskiej i zasmarkanym rozbójnikiem, najmłodszym z Pawlusów. Jeszcze krócej trzymała rodziców". Uczniowie bali się jej, ale w równej mierze darzyli ją uwielbieniem. Temu dawnemu, utrzymującemu się w Topolewie jako tradycja lokalna respektowi zawdzięczała zapewne i to, że wyszła bez najmniejszego szwanku ze zderzenia z uciekającą paczką. Którejś nocy na Kwiatowej. Dostrzegła ich, gdy wyskakowali z okien parterowego domku naprzeciwko jej posesji. z błyskawicznym refleksem zaświeciła latarkę i światło padło na (warz pierwszego z nich. Mogli ją w tym momencie ogłuszyć, uderzyć, powalić na ziemię - ale oni zwyczajnie zwiali, ile sił w nogach. Z pretensją napadła na Gronia:

— Mówiłam już wtedy panu komendantowi, że widziałam Ryśka Kabata. Dlaczego od razu nie aresztowaliście go?

— Bo się ukrywał, pani Firlejowa. Poczul pismo nosem.

— No a dziś spokojnie sobie na ławeczce na stacji w Zabrzezinach siedział. Dwa kilometry od was. Ładnie się ukrywał! I gdybym do Zabrzezin do kuzynki po truskawki nie wybrała się, pewnie szukalibyście go jeszcze długo. — Pani Firlejowa miała zwyczaj rugać nie tylko dzieci i ich rodziców, ale również kierowniczkę spółdzielni, naczelnika stacji, listonosza, księdza i wszystkie władze. Wszyscy się bali jej reprimend nie znoszących najmniejszego sprzeciwu.

Rysiek odpowiedział z wyzywającą słodyczą:

— Opałam się, pani profesor, takie ładne słoneczko.

Groń westchnął desperacko: . — Kędziora, zaproś obywatelkę Firlejową do drugiego pokoju i spis zeznanie. A ty, Rysiek, przestań się zgrywać.

Kiedy Kędziora, obznajomiony aż za dobrze z miejscowymi obyczajami, ujął z szacunkiem panią profesor pod ramię i siłą niemal wciągnął do sąsiedniej klitki, starannie zamykając za sobą drzwi. Groń wydał polecenie Bielskiemu, który — trochę zdziwiony, trochę rozbawiony — przyglądał się. przebiegowi konfrontacji:

— Słuchajcie, weźcie radiowóz i ze dwóch ludzi i jedźcie do Kabata do domu. Adres kierowca zna. Bywaliśmy już tam nieraz. Rozejrzyjcie się.

Kiedy Bielski wyszedł. Kabat parsknął cichutkim śmiechem:

— Ale go pan komendant spławił. Stary mój się ucieszy, aż hej. Od rana bimber goni.

— A matka? — spytał Groń. Rysiek wzruszył ramionami.

— E tam... Znów w szpitalu. Łapiduchy powiedziały, że tym razem już nie wyjdzie.

— No, to jak z nami będzie, Kabat? — zapytał cierpliwie Groń. — Będiesz mówić, czy nie?

Rysiek milcząco spuścił głowę. Do Gronia podszedł wilczur As, który dotychczas leżał przy nogach swego przewodnika. Sprowadzono ich tu po zatrzymaniu Ryśka. Na wszelki wypadek, a nuż przyszłaby mu ochota zwiać. On i takie rzeczy potrafi. Przewodnik drzemał na ławce w kącie. As obwąchał Gronia i położył mu łeb na kolanie. Żółtymi ślepiami wpatrywał się w niego życzliwie, przyjaźnie, ale bez natrętnej poufałości. Miał poczucie godności i wiedział, co się komu należy.

— Pan komendant lubi psy? — Padło ni to pytanie, ni to stwierdzenie oczywistej prawdy.

Rozmowa zaczęła przybierać charakter wręcz towarzyski.

—Aha — mruknął Groń i pogłaskał psa po łbie. Pies z zadowolenia przymrużył oczy. — Taki sam wilczur życie mi darował. W czasie wojny. Otoczyli nas żandarmi, zrobili obławę z psami. Rozsypaliśmy się po lesie, gdzie kto mógł, no bo za mało nas było na nawiązanie walki, Ja schowałem się w takim płytkim rowie, za małym krzaczkiem. Noc była, nie było mnie tak bardzo widać w wysokiej trawie. I czuję, że leci na mnie pies. Aż mi dech zaparło. Ale on nic, podszedł, obwąchał mnie, ja coś tam do niego zaszeptałem w rodzaju „dobry piesek, dobry”. Śmieli się później chłopcy, że pies widocznie po polsku lepiej rozumiał, niż po niemiecku. Głosu nie dał i poszedł sobie, a za nim na drugim końcu linki żandarm.

— No, no — mruknął z podziwem Rysiek, — To naprawdę życie darował. A może pan komendant jakiegoś psa zakłęcie zna?

— Lubię zwierzaki i tyle. Może to czują. — Groń ożywił się, chętnie wspominał swoje wojenne przygody. — Kiedyś, też podczas obławy z psami, zrobiliśmy Niemcom taki kawał. Wykradliśmy ze wsi sukę, która akurat gonila się i puściliśmy ją Niemcom tuż pod nosem w jedną stronę, a sami prysnęliśmy w przeciwną. No i te wszystkie psy niemieckie jak się nie rzucają za tą suką... Z dziesięć ich było i ta cała dziesiątka chyba przez trzy wsie gnała, a żandarmi za nimi. W końcu musieli psy ze smyczy pospuszczać, bo rady nie dali tak zapychać.

Roześmieli się obaj. Groń i Rysiek, a Groń pomyślał, że Bielski chyba by zwariował, gdyby tu teraz był. Całe szczęście, że tak szybko nic wróci. Wprawdzie nakazu rewizji oficjalnie jeszcze nie ma, miał za zadanie tylko rozejrzeć się, ale jeżeli starego Kabata naprawdę przy pędzeniu bimbru zastanie, i tak sporo czasu mu zejdzie na „urzędowych czynnościach”. Groń nie miał żadnych złudzeń, że w norze Kabatów można znaleźć cokolwiek z łupów Ryśka, Banda musi mieć gdzie indziej melinę. Ciekawe, że nic z kradzionych rzeczy dotychczas nie wypłynęło.

— A to pan komendant kiedyś w czasie wojny podczas rewizji w chłopskiej chałupie urzynał w miotłę wsadził, co koło drzwi stała, żeby hitlerowcy nie znaleźli? — spytał Rysiek z poufałym zaciekawieniem.

— Ja. No bo kto by miotłę przetrząsał, która na samym widoku stoi? A ty skąd o tym wiesz?

— A tak... Wie się to i owo. My wszystko o panu komendancie wiemy.

— Tak? — niby zdziwił się Groń. Wszystko, wszystko... Jak mogą wiedzieć, kiedy on sam o sobie wszystkiego nie wie.

— Ja panu komendantowi coś zaproponuję odezwał się ni stąd ni zowąd Rysiek, ale już innym tonem. Z powagą.

— No, słucham cię.

— My zrobimy taki układ. Ja potrzebuję jednej nocy. Wolnej. Pan komendant mnie teraz wypuści, a ja jutro rano, z samego rana, jak tylko słońce wzejdzie, przyjdę tu i całą kawę na ławę wyłożę. Git?

— A jeżeli ja się nic zgodzę?

— No to nici. Nic nie powiem. Pan komendant mnie zna. Ja się tam nie złamię. Lanie mi nie straszne, Kędziorze palka może pęknąć, mało to mnie ojciec od urodzenia lał? I cierpliwy jestem. Szukajcie sobie naszej meliny i moich chłopaków do kopanej śmierci. Przecież nie wiecie, którzy to. W Topolewie ze stu jest takich, których bym mógł mieć na zawołanie. Tylko gwizdnę, a przylecą. Ale wziąłem z nich sobie tylko dziesięciu. Ja jestem jedenasty. Ot co. Będziecie wszystkich wołać na przesłuchanie, to kota dostaniecie, a i tak żaden się nie przyzna bez mojego rozkazu. Więc tak naprawdę macie tylko mnie, bo stara tylko mnie rozpoznała.

Groń wiedział, że to prawda. Czyli miał do wyboru: zaryzykować, zaufać Ryškowi i rozwiązać problem, który był ciemną plamą na opinii posterunku w Topolewie — albo: zatrzymać Kabata i wdać się w długotrwałe, nie kończące się i raczej nie wróżące powodzenia śledztwo. Z Komendy Wojewódzkiej nie ma się co spodziewać pomocy. Umyli ręce. Śmieją się z niego, że z bandą młodocianych złodziejasków rady sobie dać nic może.'

— A jak zwiejesz?

— Nie zwieję. Słowo honoru.

— I chłopaków nie ostrzeżesz, żeby się ulotnili?

— Nic. I wszystko oddamy, cośmy zabrali.

— Dużo tego?

— Będzie na kilkaset tysięcy. — W głosie Ryška brzmiała nieklamana satysfakcja. — Niczego nie brak. Możemy remanent robić, jak w aptece.

— Dziwne to wszystko. Kabat. Mniejsza o rzeczy, choć i to nie jest bez znaczenia. Ale że ty nie boisz się kumpli wydać?

— Jakie znów „wydać”? Nie rozumiemy się, władzo. Nabałaganiliśmy, trzeba płacić. Była zabawa, nie ma zabawy. Nic wyszło tak, jak miało być. jak ja tego chciałem. Widocznie źleśmy to sobie wymyślili. A największa wina moja. Raz: że w ogóle się pomyliłem, bo nie tędy droga... Ech. co będę teraz komendantowi głowę kręcić, potem pogadamy, po co to nam wszystko było... A dwa, że co do chłopaków się pomyliłem. Co do niektórych. Zasmakowali. Jeżeli ich teraz zostawię luzem — pójdą dalej. Będą rozrabiać. Chole- ra wie, czego się doigrają. Jeżeli ja będę siedzieć, a oni nie. to każdy z nich z kopyta może sobie nową paczkę skleić. Dlatego ja z tym muszę zrobić koniec. Obliczyłem: zabór mienia, czyn ciągły. Siedmiu małolatów, trzech młodocianych, jeden pełnoletni. Wyrok trzy lata, sąd cos tam złagodzi za dobrowolne oddanie rzeczy. Za dobre sprawowanie połowa zleci. Małolaty z rok posiedzą w poprawczaku, starsi pogarują półtora roku. Przy okazji w kiciu nauczą się czegoś, choćby pracować. Bo to ani uczyć się, ani robić nic nie chcą, skubańcy.

— A ty wiesz, poprawczak to nic dyskoteka, ani lunapark. Jednemu pomoże do zbawienia duszy, drugiego doszkoli w czym nic trzeba.

— Co na to poradzić? Rysiek wzruszył ramionami, ale twarz miał zasepioną. — Dobrego i burdel nie zepsuje, a złęgo i klasztor nic zbawi. Muszą się sprawdzić. A zresztą to już wasza sprawa, starych, żeby nas poprawić. Tacy wam wyrosliśmy. Nie tylko nasza wina.

— Co jest grane. Kabat? O co ci chodzi; że ci ta jedna noc potrzebna? Przecież tak jak stawiasz sprawę, to i bez tej nocy można wszystko załatwić. Dziewczynę masz? Chcesz się z nią jeszcze raz przespać przed za pudłowaniem?

— Nieważne. Niech pana komendanta nie obchodzi, co ja z tą nocą zrobię. Ma być moja własna i niczyja więcej. A może chcę sprawdzić, czy komendant mi ufa i czy ja mogę ufać władzy?

— Powiedzmy...

— I żeby tylko żadne gliniarze po piętach mi nie deptały. A pan komendant będzie na mnie tu czekać. Nikt inny. I sam. Bo ja, zanim mnie te cholerne paragrafy sądowe obgryzą, muszę jeszcze z panem komendantem porozmawiać. Tak w ogólności. O życiu.

— Gliniarze, gliniarze, powiadasz. A chcesz z gliną o życiu rozmawiać...

Umilkli. Groń namyślał się. Widzieliście. Rysiek Kabat chce go sprawdzać. A gdyby tak wyciąć numer i rzeczywiście puścić tego przemyślającego łobuza, po którym znać wyższą akademię wychowania filozoficznego magistra Andrzeja Kotkowskiego? Jeżeli Groń zdecyduje się, musi to zrobić szybko, teraz, zanim wróci Bielski. Ten rygorysta gotów założyć protest. Oczywiście pomyśli, że Groń zwariował. I napisze raport, że komendant działa wbrew prawu i przepisom. Niech tam.

Co robić? Groniowi nagle przypomniała się, po raz pierwszy podczas całej rozmowy z Kabatem, sprawa Antoniego. Czy słusznie wtedy postąpił, puszczając wolno wroga nowego ustroju? Puścił, bo wierzył, że przypadek pchnął brata na przeciwną stronę barykady i że Antek tym wrogiem być przestanie. Chce teraz puścić młodego złodziejzaka, bo wierzy, że z Ryśka mogą jeszcze być ludzie, że choć odsiedzi, to nie popadnie w notoryczną recydywę; bo zdaje sobie sprawę, iż w tym, co mówił Rysiek, jest dużo prawdy. Nie ich wyłączna wina, że są tacy, jacy są. Gdzież więc jest granica między skrupulatnym przestrzeganiem prawa i zbędną nadgorliwością? Między sprawiedliwością zaklętą w paragrafy i zwykłą, zrodzoną z chropowatego życia wyrozumiałą sprawiedliwością -jak ją rozumieją i czują ludzie? Kiedy niezłomność w tępieniu występku okazuje się zbawcza — a kiedy nadmierna pobłażliwość zachęca ludzi nieodpornych na zło do przekroczenia granicy, dzielącej ład społeczny od bezprawia i anarchii? Co ma być regułą, a co wyjątkiem?

— Idź — powiedział.

Za Ryśkiem cicho zamknęły się drzwi. Komendantowi zdawało się, że usłyszał jeszcze jakieś niewyraźnym szeptem wypowiedziane słowo. Mogło to być „dziękuję”, albo to ich młodzieżowe „hej”.

Gdy Groń odtwarza sobie w pamięci przebieg pertraktacji z Ryśkiem Kabatem, swoje myśli, które snuł podejmując ryzykowną decyzję, nie jest już tak w zupełności pewien swoich racji. Te wątpliwości rodzą się w nim, gdyż między jego decyzję i trwające obecnie nocne czuwanie wdarło się starcie w lesie z Antonim. Zachwiało pewnością siebie starego milicjanta, obaliło część złudzeń, do pojęcia „decyzja” dodało przymiotnik „pochopna”. Nie wszystkie bogobojne życzenia w życiu sprawdzają się, nie wszystkie dążenia, choćby i najszlachetniejsze, doprowadzają do upragnionego celu. Cel się oddala albo okazuje się złudą. Lub wreszcie przybiera postać, jakiej wcale nie spodziewaliśmy się.

Krzak jaśminu poruszył się za oknem, na wprost Gronia, ale on, zamyślony, patrzył na to obojętnie. Może nawet nie zdziwiłby się, gdyby stamtąd wyłonił się ktoś, kto strzeliłby do niego, albo rzucił w niego nożem, albo zacisnął mu ręce na gardle. Z ciemności widoczny był na tle oświetlonego pokoju jak manekin na strzeleckim poligonie. Napastnikiem mógłby być Antoni, mógłby nim być Kotkowski, albo chociażby i Rysiek Kabat.

Ale to była tytko Ewa. Przez jakiś czas przyglądała się Groniowi bez słowa. Potem zaczęła mówić. Po swoim, spokojnie, z namysłem budując zdania, jak gdyby wykladała uczniom (rudny ternal. Od czasu do czasu tylko szybszy, przyspieszony oddech dawał znać o rozpaczliwie tłumionym wzburzeniu.

— Z ulicy zobaczyłam otwarte okno, dlatego tu podeszłam. Jak można, stryju, być aż tak nierozważnym? Zdenerwowałam się. Tak przecież zginął Kraska: od strzału przez otwarte za nim okno. Nic nie mów, ja wiem, co powiesz. Że czasy nie te, że gdyby ktoś chciał ciebie zaatakować, to wystarczy kamieniem rozbić szybę. Ostatnio w Topolewie modny sposób na dostawanie się do cudzych mieszkań. Ale taki sposób na ciebie musiałby sobie ktoś zawczasu obmyśleć, a są okazje i pokusy, które mogą wyzwolić samoczynnie spontaniczny odruch. Rozumiesz, co mówię? Bo patrzysz na mnie tak jakoś półprzytomnie. Chciałabym, żebyś mnie teraz uważnie posłuchał i, o ile dasz radę, nie przerywał mi. Miałam późnym wieczorem spotkanie, które powinno było odbyć się już dawno temu. Powinieneś był powiedzieć mi wszystko o moim ojcu, całą prawdę. Oczywiście nie wtedy, gdy byłam małym dzieckiem i nic bym z tego nic zrozumiała. Ale kiedy już dorosłam. Moim obowiązkiem, a i twoim także, było zająć się nim. Może jeszcze kilka lat temu można było go uratować, teraz będzie bardzo trudno. To straszne, co on mówił.

Na chwilę umilkła i przymknęła oczy. Znow pod powiekami ten obraz. Ciemna sala gimnastyczna. Umyślnie wygaszone górne światła, aby jeszcze raz wypróbować reflektory. Rzędy krzesel, a za nimi ławek, wypełniają trzy czwarte przestrzeni, resztę miejsca zajmuje usunięty pod ścianę sprzęt gimnastyczny. Sala ubrana jest zielenią i biało-czerwonymi proporczykami, z boku tkwi umocowany w stelażu sztandar szkoły, tuż przy nim fortepian z kilkoma brakującymi klawiszami i pokancerowanym blatem, A na końcu sali, w jej głębi, w obramowaniu wiśniowej kurtyny — mała scena. Dwaj chłopcy z ósmej klasy manewrują, reflektorami, światło zmienia odcienie, raz jest zielone, raz błękitne, raz płomienne lub jaskrawo żółte jak poranne słońce. Na froncie sceny tuż nad karnym szeregiem czerwonych pelargonii w doniczkach i kosmatych paprotek, kilkoro dzieci ustawionych rzędkiem recytuje wiersz, który już dawno, kiedyś, napisała utalentowana literacko uczennica szkoły. Wiersz wszedł do szkolnej tradycji niemal jak hymn i nosił tytuł: „Nasz przyjaciel Ignacy Kraska”. „Powtórz to, Basiu, jeszcze raz, zjadasz końcówki” — mówiła Ewa, a dziewczynka posłusznie recytuje: „I choć to tak dawno było, pamięć o nim naszą siłą!”... Dekoracji właściwie nie ma. Ze ściany tylko, frontem do widowni, spoziera, uśmiechając się serdecznie i wesoło Ignacy Kraska z dużej, kolorowej fotografii, przepasanej w rogu biało-czerwona wstążką przytrzymująca, dwa goździki z bibułki. Jeden biały, drugi czerwony. „Jeszcze raz od począł-ku” — komenderuje Ewa, zadowolona, że chór i gromada z V B. tańcząca poloneza, poszły już do domu i można spokojnie potrenować jeszcze małych aktorów.

I w tym momencie z samego końca sali. z najciemniejszego jej kąta zastawionego gimnastycznym sprzętem, rozlega się gromki, drwiący śmiech. Głos jest niski, zachrypnięty i pewnością należy do dorosłego mężczyzny. „Kio przerywa?” — wola rozniewana Ewa. — „Proszę natychmiast wyjść!” i zeskakuje ze sceny, aby dać nauczkę intruzowi. Dwaj chłopcy od reflektorów są szybsi niż Ewa, jak na komendę kierują obaj strumienie światła w głąb sali. Akurat mają czerwoną przesłonę, dwie purpurowe strugi krzyżują się i tworzą jaskrawy, ognisty krąg. wydobywający z ciemności postać mężczyzny. Siedzi na skrzyni do skoków obejmując splecionymi rękoma kolana i śmieje się. Nic słucha młodej nauczycielki. Donośne echo roznosi po sali. po hallu, po pustych i cichych korytarzach chrapliwy, nieprzyjemny rechot. Pani Aniela, woźna, z nagłą wyrwana ze słodkiej drzemki wydaje z siebie krzyk, który zbudziłby umarłego: „Diabeł! Diabeł!”. Wymachuje rękoma i z rozmachem żegna się. Chłopcy biegną ku zjawie, ściągają nieproszonego widza ze skrzyni i wypychają go siłą do rzęsiście oświetlonego hallu. Tu Ewa może się przyjrzeć postaci, nic wzbudzającej ani sympatii, ani zaufania. Zalutujący od mężczyzny odór wódki przyprawia Ewę o mdłości. Jest jednak coś w wyrazie twarzy i oczu dziwnie na Ewę patrzącego człowieka, co powstrzymuje ją od apodyktycznego polecenia: „Wyprowadźcie go, chłopcy, na ulicę”. Zamiast tego mówi: „Idźcie do domu. na dziś koniec”. Każe woźnej zamknąć szkołę, a sama ujmuje za ramię obdartusa i popycha w stronę ulicy ścieżką wśród sosen. Jeniec już się nie śmieje. Przeszła mu niewczesna wesołość. Pokornie pozwala dziewczynie

wyprowadzić się za bramę i tu dopiero przystaje. Przygląda się Kwie w świetle latarni z zaciekawieniem i natarczywością. ..Po co pan tam wszedł? Czego pan chce? Kim pan jest?" — pyta Ewa. Powinna mieć stracha, dookoła pusto, jak to w Topolewie wieczorami. ..Jestem twoim ojcem, ładna panienko" — odpowiada hardo mężczyzna i dodaje: ..To brzydko tak wypraszać tatusia, który' przyszedł ciebie odwiedzić"...

Ewa otwiera oczy. koszmar znika, ma przed sobą znów oświetlone okno posterunku, otwarte na roścież, a w nim rysującą się ciemną sylwetkę-stryja- Nie widzi jego twarzy. Zastygł nieruchomo. Ewa zbliża się do niego, podchodzi do okna. opiera się o parapet. W bliskości Gronia czuje się bezpieczniejsza. Jego milcząca obecność rozładowuje ciężące jej napięcie i pozwala mówić dalej, znów spokojnym, równym głosem:

— Spytałam, skąd wiedział, gdzie mnie szukać. Powiedział, że pytał napotkane dzieci i one skierowały go do szkoły. Był głodny, ale nie chciał pójść ze mną do domu. Zdaje się, że bardziej potrzebował wódki, niż jedzenia. Poszłam więc z nim do „Bachusa" i zafundowałam schabowego kotleta i piwo. Rozmawialiśmy długo, aż do zamknięcia lokalu. Powiedział do mnie tak: „W tym miejscu, koło tej knajpy, twój stryj a mój brat zabił mnie trzydzieści trzy lata temu". Zapytałam, jak to zabił, kiedy on żyje. Odparł, że umarł wtedy Antoni, młody chłopak, który wierzył, jak. on to określił, w siebie, w świat, w ludzi i w Boga. A to, co po nim zostało, to chodzący trup. Opowiedział mi dokładnie, jak zmusiłeś go do ucieczki z placu boju. Tak to nazwał. Odgrażał się, że zabije ciebie za to. Że już próbował to zrobić dziś... to znaczy wczoraj, kiedy wracałeś. przez las do domu na obiad, ale się nie udało. Jeszcze raz zrobił ze mnie gnojka, szmatę" — tak się wyraził. I jeszcze: „Dlaczego on jest zawsze górą, dlaczego musi mnie upokarzać. Nie potrzebuję jego łaski. Rzygam tą jego łaską". Nie szkodzi, że zabrałeś mu nóż. Śpiewał wciąż jedną zwrotkę z takiej partyzanckiej piosenki, która kończy się słowami „Śpi po lasach zakopana broń". Przysięgał, że jeszcze dziś pójdzie w las, w miejsca, które on tylko zna i wykopie rewolwer, który ukrył podobno w bukowym lesie tamtej nocy., kiedy zmusiłeś go do ucieczki. Przyszłam, żeby ciebie ostrzec. On może tu do ciebie przyjść. Nie odjechał z Topolewa, bo nie było już kolejki. Gdzieś podział mi się w ciemności. Chodziłam,, wołałam, ale nadaremnie. Poszłam jeszcze do domu. żeby uspokoić ciotkę Marłę i tak mi zeszło aż do tej pory. Aha, jeszcze muszę ci coś powiedzieć. Kiedy spytałam go, dlaczego tak śmiał się na próbie w szkole, znów zaczął ryczeć ze śmiechu i przyznał się, że to on wykonał wyrok „Hetmana" na Krasce. I że gdybyś ty o tym wiedział, na pewno nie puściłbyś go wolno, chociaż on twój brat. Ale tobie to nawet do głowy wtedy nie przyszło. I jeszcze śmiał się dlatego, że to najśmieszniejsza rzecz, jaka tylko mogła mu się w życiu przytrafić: że córka zabójcy organizuje akademię na cześć faceta, którego jej ojciec zgładził. A zgładził słusznie, bo Kraska był dezerterskim, zdrajcą, kumał się z milicją, to znaczy z tobą, stryju. Od Kraski mieliście podobno różne informacje o podziemiu. Księżda do szkoły nic wpuścił i jeszcze tysego orła, jak on to nazwał, w szkole kazał zawiesić. Cóż, to wszystko chyba z ważniejszych rzeczy.

— No i co teraz będzie? — odezwał się w końcu półgłosem Groń. gdy dziewczyna umilkła. Podziwiał jej opanowanie. Tylko trzask suchej gałązki, którą kruszyła w palcach na drobne drzazgi, świadczył o jej wytraceniu z równowagi.

— Z czym, stryju? —? spytała jak gdyby zdziwiona.

— Nie mam na myśli twojego ojca. Zgadzam się z tym, co mówiłaś o... no, o naszej odpowiedzialności. Ale o tym pomówimy jutro... to znaczy dziś. wieczorem, w domu. Chodzi o tę nieszczęsną akademię, o ciebie, o szkołę. Co chcesz zrobić?

— Nic. To znaczy nie w tym sensie, żebym na przykład miała opuścić szkołę, albo coś w tym rodzaju. To jest sprawa stara. Mnie nie dotyczy, a za kogoś odpowiadać nie mogę, choćby to był rodzony ojciec. Jeżeli ktoś przeciwko mnie wystąpi, bo i tak może się zdarzyć, będę się bronić. Niech mnie sądzą za moją pracę, moje poglądy, moją działalność, a w tym to ja nie mam sobie nic do zarzucenia. Myślałam o tym wszystkim, kiedy szłam do ciebie i doszłam do wniosku, że właściwie najpoważniejszym argumentem prze-

ciwko temu wszystkiemu, co ojciec wygaduje bez sensu, jestem właśnie ja. Ja sama. Dowód rzeczowy na korzyść tej Polski, która jest, a której on tak nienawidzi. Bo mogłoby się wszystko ze mną inaczej potoczyć. Córka takiego wroga ustroju... Mogłam zmarnieć, wykoleić się. Mogliby nie pozwolić mi na ukończenie studiów, na uczenie dzieci historii. Mogłabym przykleić się do jakiegokolwiek opozycji, mało to ich było... Boja wiem. co jeszcze mogłoby się ze mną stać. Oczywiście, to przede wszystkim twoja zasługa, że jestem taka a nie inna. Ale to, w czym mnie wychowałeś i czego mnie nauczyłeś, jot zgodne z ogólnymi prawami, które w końcu decydują w naszym życiu mimo wielu błędów, które popełnialiście wy. starsi, na początku i pomimo wielu słabości, które jeszcze dzisiaj obciążają i was. i nas, młodych, Więc musi być w tym jakaś prawda, jakaś słuszność, jeżeli to. co dobre jest ogólnie, okazało się też dobre i dla mnie osobiście. Nie wiem, jak by było. gdyby nam Polskę urządzali „Hetman”, mój ojciec i jeszcze inni. im podobni... W ich pojęciu Kraska był dezertorem, bo uznał, że skoro wojna się skończyła, czas budować szkoły. Kto miał rację, oni czy on? Oczywiście, on. Sam mi opowiadałeś, że w waszej wsi na Podlasiu szkoły nic było. a najbliższa, dwu klasowa była odległa o dziesięć kilometrów. Dlaczego „Hetman” lub jego ojciec, który rządził tamtą okolicą jak mu się żywnie podobało, nie zadbał, żeby w waszej wsi była szkoła, choćby i najmniejsza? Mam rację? Mam. No a skoro mam. to nie należę ani do ojca i jego „Hetmana”, ani do ich Polski, tylko do tej, którą oni zwalczali. Do tej, która jest. Oni nie tylko wtedy przegrali, oni wciąż jeszcze przegrywają, z każdym dniem coraz bardziej. Taka jest prawda. I ja jestem po stronie prawdy.

— Cały referat mi tu wygłosiłaś. Ewka. ale przecież mnie agitować nie musisz.

— Muszę. Bo to było tchórzostwo z twojej strony, małoduszność, jakaś taka niewiara w swoją rację, w swoje działanie, że trzymałeś przede mną w tajemnicy sprawę ojca. Odebrałeś mi prawo wyboru w czasie, kiedy byłam już prawie dorosła. Co, może bałeś się. że ojciec przeciągnie mnie na swoją stronę?

— Nie chciałem ci sprawiać bólu. przykrości...

— A można to przejść przez życie, stryju, nie dostawszy balów? Referat, mówisz, wygłosiłam. No i dobrze. Próba generalna. Tak właśnie będę truć. jak to określa nasza młodzież, na jutrzejszej akademii. Czy to się komuś spodoba, czy nie. Ale myślę, że naszej młodzieży to będzie odpowiadać. Bo ona tak często pyta. jak to było. albo którą drogą i nikt jej nic wyjaśnia, albo wyjaśnia głupio, co na jeszcze gorsze wychodzi.

— Zmęczony jestem już, córciu. A i ty pewnie też. Patrz, jasno już się robi. Idź do domu. Porozmawiamy wieczorem, jak wrócę. Muszę przecież sprawę Kabata doprowadzić do końca. Rozumiesz chyba.

Skinęła głową, ale oponowała:

— Wolałabym tu ze stryjem zostać, dopóki twoi wszyscy się nie zejdą... Ojciec...

— Tym razem ja ci powiem: to sprawa tylko pomiędzy nim i mną. Nic ci do tego. Czy myślisz, że twoja obecność powstrzymałaby go przed czymkolwiek? Odwrotnie, rozjuszyłaby go jeszcze bardziej. To człowiek obłąkany. Jego zżarła nie tylko złość, zawiść, nienawiść, ale też i wódka. On czuje i widzi wszystko na opak. Czekaj... Słyszę, że nadjeżdża nasz radiowóz. Niech zawiezie ciebie do domu. bo jesteś gotowa, jak ciebie znam. do rana latać po lesie. A potem niech oni dwa razy objadą całe Topolewo. Może napotkają ojca. No i w ogóle niech uważają, czy gdzieś coś się nie dzieje...

Ewa odjechała niechętnie, z ociąganiem się. jeszcze wychylała się przez opuszczoną szybę, żeby spojrzeć na stryja, stojącego na progu posterunku. Na przejeździe minęli się z rudym fiatem, za którego kierownicą siedział magister Andrzej Kotkowski. Zrobił jednak wrażenie, że nie dostrzega ani radiowozu, ani Ewy. Twarz miał bladą, ściągniętą grymasem gniewu i zdecydowania, usta zacisnął, jak gdyby odczuwał jakiś

ostrzy ból. Kilkadziesiąt metrów za posterunkiem zatrzyma! wóz, wyją! z kieszeni srebrną papierośnicę i głęboko zaciągnął się carmenem.

Gdy radiowóz z Ewą odjechał. Groń wrócił na swoje miejsce przy biurku. Poczł się śmiertelnie zmęczony. I nagle przypomniały mu się jego własne słowa, wypowiedziane przed chwilą raz do Ewy, a drugi raz do załogi radiowozu. „Zobaczcie, czy gdzieś coś się nie dzieje”. Powiedział to ot, tak sobie, od niechcienia. Dla pozbycia się Ewy i zarazem radiowozu. Chciał być po prostu sam. Chłopcy zaraz zaczęliby mu z detalami opowiadać, jak to poskrimali pijaków w zajeździe. A on czuł potrzebę skupienia się jeszcze raz. Dlaczego właściwie wydał taki rozkaz? Znał siebie i wiedział dobrze, że przychodzą na niego chwile nic jasnowidzenia oczywiście, ale wycucia, że sprawa nie jest taka prosta, jakby się z pozoru wydawało. Rozkaz czasem sam się prosi, by go wydać, niby bez konkretnego powodu, a jednak okazuje się potem, że by! jak najbardziej konieczny.

Czego jeszcze mógł się spodziewać tej kończącej się nocy w Topolewie? No. może Antka pijanego zdybią gdzieś przy drodze, chrapiącego pod drzewem... A Rysiek? Rysiek, jeżeli nie spędza tej nocy z dziewczyną, siedzi na tej swojej „Górcie czarownicy” w topolewskim lesie. O tym miejscu spotkań kabatowej ferajny opowiadał kiedyś Groniowi Bogdan, rozżalony, że nie przyjęli go na kompana. Myślał, że ojciec chłopaków stamtąd pogoni, ale Groń puścił informację małego donosiciela mimo uszu. W tej chwili o niej sobie przypomniał. No i co z tego? Nie o to chodzi, gdzie Rysiek teraz siedzi, czekając na wschód słońca, jak było umówione — ale o to tylko i po prostu: czy dotrzyma słowa i dobrowolnie zgłosi się na posterunek. A jednak Groń poczuł się, jak gdyby otrzymał potężny cios. Z nagłą otworzyły mu się oczy. Wstrząs, szok: czy Rysiek w ogóle będzie mógł spełnić swoją obietnicę i stawić się przed Groniem? Wprawdzie przechwalał się posłuchem, jaki ma w bandzie, twierdził, że żaden chłopak nie ośmieli się pisnąć słowa bez jego rozkazu — ale to mogą być tylko przechwałki. Groń tak dobrze zna to środowisko, jego obyczaje i kodeks, że wie, co czeka tych, którzy łamią solidarność gromady. Kapuś — to najnędniejsza istota pod słońcem, godna nie tylko pogardy, ale i najsurowszej kary. A cóż właściwie innego miał zrobić Rysiek, nic bacząc na całą przytaczaną argumentację, nic biorąc pod uwagę jego najsłuszniejszych intencji? Miał odegrać rolę zdrajcy. Tak to wygląda w oczach jego kumpli, nie ulega wątpliwości. A skoro po Topolewie rozniosła się wieść o dziwnej grze, którą prowadzą między sobą komendant i Kabat, Rysiek może w ogóle zdrów i cały nie dotrzeć do Gronia. Grozi mu śmierć. A już co najmniej ciężkie kalectwo. Groń zrozumiał, na co wystawił chłopaka, na jakie ryzyko. Cóż z tego, że był to pomysł Ryśka, w końcu on, Groń, odpowiada. Za Ryśka, jak za inne sprawy w Topolewie. Gdziekolwiek Rysiek jest, musi natychmiast dostać ochronę, nawet wbrew swojej woli. Groń potrafi odsunąć na bok, jak zawadzający rupieć, swoje animozje i uprzedzenia. Musi skomunikować się natychmiast z Bielskim. Podeśle do niego radiowóz, Niech Bielski wsiada i szuka Ryśka. Po dziewczynach, po lesie. Groń wykręca numer telefonu Bielskiego. Ale nikt się nic odzywa. Łączy się drugi raz. wiadomo, telefony podwarszawskie działają stokroć gorzej od murzyńskich tam-tamów. Tym razem podnosi słuchawkę sąsiadka, z którą Bielski ma wspólny telefon. Zaspianym głosem odpowiada, że porucznika Bielskiego nie ma w domu. Gdzieś wyszedł, chyba z godzinę temu.

Groń odkłada słuchawkę i ciężką głowę obejmuje rękoma.

Nieruchomość otaczających przedmiotów czasami koi skołatane nerwy, a czasami irytuje do niemożliwości. Wiktor Bielski darzy serdeczną niechęcią to, na co musi patrzeć codziennie. Ciemnoniebieskie ściany (żeby pająki odstraszyć, one niebieskiego nie lubią), kraty w oknach (bo to parter, złodzieje lubią), siatkowe firanki i pstre zasłony, szafki, szafeczki, półki, półeczki, gięte meble w stylu retro, stolik przykryty ażurowa, szydełkową serwetką i ze szklanym wazonikiem, w którym (ach, ach) śliczne czerwone maki z bibułki. tapczan dawnej konstrukcji, a więc z materacem, ugniecionym w górkę i dołki i z żakardową kapą, na której wymyślny wzór przedstawia pustynię, palmy, piramidy i wędrujących na wielbłądach Beduinów.

Do tego na jednej ścianie Maria Magdalena, unosząca pokutniczo oczy ku boskiej światłości (rama złożona, szeroka), na drugiej zaś lasek brzozy na tle turkusowego nieba, a wśród jadowicie zielonej szmaragdowej trawy żółte kwiatki — czyli wiosna. Co robić, nie się nic poradzi: odnajęty pokój i gospodyni zastrzegła, że niczego nie wolno z niego usuwać. Jedno tylko nadaje się do zaakceptowania: wielki, wygodny skórzany fotel, w którym siedzi teraz Wiktor Bielski i rozmyśla, co ma robić. Nie tylko teraz, zaraz, dzisiejszej nocy i jutrzejszego rana. ale tak w ogóle, ze sobą i swoim życiem.

Ucieka z tego odnajętego lokum kiedy tylko może. Dlatego przesiaduje na posterunku dłużej niż potrzeba nie z nadmiaru pracowitości, chociaż w zasadzie leniwy nie jest. Latem po służbie wyprawia się na dalekie spacer. Jeździ do Warszawy kolejką, włóczy się po mieście, chodzi na wystawy, do kina, do klubu, przesiaduje godzinami w czytelni.

I nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać o tym, co go obchodzi. Mówi do siebie często: „Dobrze ci tak. Chciałeś uciec byle gdzie, choćby na kraj świata, no i uciekłeś. Topolewo tak samo dobre jak każda inna dziura w Polsce, ten ohydny pokój taki sam nieprzytulny, jak każdy, w którym byś zamieszkał. Nigdzie i nigdy nie uciekniesz od siebie nigdzie i nigdy nie odnajdziesz Iwony. Jedno, co ci pozostało, to robić swoje tak sumiennie i dokładnie, jak tylko potrafisz, nie wdając się w żadne czułości i sentymenty”

Czy był taki, zanim poznał Iwonę, czy później dopiero rozwinął się w nim ten bezosobowy stosunek do ludzi i spraw, z którymi miał do czynienia?

Pewne zadatki w tym kierunku w jego charakterze na pewno istniały od dzieciństwa. Wiktor urodził się w Łodzi w pierwszym roku po wojnie. Rodzina była skromna, inteligencka, mieszczańska - ale pozbawiona wad, które mieszczańskość czynią czasami nieznośną. Chyba dzięki zajęciom rodziców. Ojciec był archiwistą w magistracie, matka bibliotekarką, najpierw w jakiejś szkole.

potem na uniwersytecie. Oboje cenili więc ład i porządek, przynosili tę cechę i na płaszczyznę życia rodzinnego. Ale ojciec miał także swojego konika, a raczej pasję. W małych dwóch pokojach ich mieszkania w oficynie przy ulicy Gdańskiej zbierał i gromadził różne dane, pamiątki i fakty z historii rodzinnego miasta Łodzi. Matka znów dla odmiany przynosiła z biblioteki nowe, ciekawe książki do poczytania.

Zamiłowanie ojca i upodobanie maiki do literatury i historii dodawały życiu małej rodziny w trudnym powszednim bytowaniu posmaku swoistego romantyzmu. Dlatego właśnie ich mieszczańskość nie była płaska, prozaicznie nastawiona wyłącznie na zdobywanie dóbr doczesnych, nie była ciasna ani sztywna. Pozostały z niej na użytek codzienny pewne rygory - zasady, rytuały, obyczaje. Głęboki szacunek dla solidnej pracy, pogarda dla wydrwigroszów i nierobów, zamiłowanie do schludności i gospodarności, kult posłuszeństwa wobec rodziców — no i dziesięcioro przykazań, obowiązujących bezwarunkowo, chociaż bigoteria praktykowana w rodzinie nie była.

Dzieci, bo było ich dwoje (oprócz Wiktora starsza od niego o rok Agnieszka), systematycznie uczestniczyły w pracach domowych. Wiktor od małego musiał się nauczyć prania, prasowania i cerowania swojej garderoby. Gdy niestaranie wyczyścił buty, musiał pucować je powtórnie, inaczej nie miał prawa wyjść z domu na ulicę. Pomagał w kuchni Agnieszce, kiedy matka była jeszcze w pracy. Umiał nawet to czy owo ugotować.

Gdy matka po krótkiej ale ciężkiej chorobie zmarła dotknięta jakąś wyjątkowo złośliwą formą raka, ojciec przygasł i z dnia na dzień tracił siłę życia. Pewnego dnia po powrocie ze szkoły Wiktor i Agnieszka zastali go leżącego na podłodze, na stosie jego teczek ze „szpargałami” powyrzucanymi jak bądź z szuflad. Nie żył. Lekarze stwierdzili zawał. Rodzeństwo właśnie kończyło naukę: Agnieszka w technikum chemicznym. Wiktor w „ogólniaku”. Małe oszczędności, uskładane przez rodziców, stypendium i dorywcze zajęcia w studenckiej spółdzielni pozwoliły Wiktorowi skończyć prawo. Agnieszka takich ambicji nie miała. Poszła

do pracy i szybko wśród kolegów znalazła sobie męża. Mieszkali nadal na Gdańskiej, już we troje, ale kiedy posypały się dzieci, zrobiło się ciasno. Bielski zostawił więc siostrze całe mieszkanie po rodzicach i skorzystał z propozycji, by oddać swoją prawniczą wiedzę służbie strzegącej porządku publicznego. Odpowiadało mu to, chociaż stopień jego zaangażowania politycznego nie przekraczał średniej przeciętnej zwykłego obywatela. Raził go jednak każdy nieporządek, a więc także i ten w życiu społecznym, gospodarczym, w stosunkach międzyludzkich. Był wrogiem wszystkiego, co naruszało ład i spokój.

Szkołę oficerską skończył z wynikiem dobrym, wszyscy wykładowcy chwalili szczególnie jego obojętność, sprawność logicznego myślenia, skrupulatność w rozwiązywaniu problemów posuniętą aż do drobiazgowości. Ale przyjaciół nie miał. Skryty był i — jak mawiali niektórzy — „nieprzystępny”. Pracę rozpoczął w Łodzi, obiecano mu w niedługim czasie przydział kawalerki w blokach. Przypadła Wiktorowi w udziale młodzież i chociaż w tym mieście urodził się i wychował, otworzył się przed nim jak gdyby inny, nie znany mu dotąd świat. Oczywiście, stykał się z tym światem od dziecka, miewał różnych kolegów, ocierał się na ulicach, w kinach, na ślizgawce o różną młodzież, ale nigdy nie wchodził z nią w bliższy kontakt, nie wnikał w życie wewnętrzne tych wszystkich grup, gromadek i gromad, które tak łatwo formują się wśród dorastających dziewcząt i chłopców. Jemu wystarczała rodzina, absorbowała całą jego uczuciowość i inteligencję. Gdy jej zabrakło — pozostał zupełnie samotny.

Wiktor Bielski miał swoje metody. Bez krzyków i pośpiechu, bez gorączkowej krzątaniny, po pewnym czasie nagromadził i usystematyzował sporą wiedzę o młodzieżowym „marginesie społecznym” Łodzi. W każdej chwili mógł z niewielką obawą o pomyłkę wyjaśnić kto, gdzie, z kim i w jakim celu się spotyka. Miał wszystkie te dane w kartotekach, starannie poukładane w teczkach, naniesione na plan miasta. Niektórzy śmieli się z niego ukradkiem.

Iwonę poznał w parku Poniatowskiego. Lubił ten park, jeden z największych i najpiękniejszych w Polsce. Na ustronnej polance, na ławce, w półleżącej pozycji dziewczyna wyglądała jakby spała. Zamierzał ją minąć, ale jego uwagę zwróciły ręce. Zwisły sztywno, bezwładnie, palcami dotykały niemal ziemi. Obok ławki, wśród żółknącej jesiennej trawy, leżała szydełkowana torba.

Podszedł i pochylił się. Twarz dziewczyny była blada, ściągnięta skurczem. Żyła, ale puls bił słabo i nierówno. Uniósł palcem powiekę. Rozszerzona źrenica potwierdziła pierwszy domysł Wiktora: nadużycie narkotyku. Rozejrzał się dookoła: ani żywej duszy. Zawiesił torbę na ramię dziewczyny i wziął ją na ręce. Nie odzyskiwała przytomności, jej narkotyczny sen był bardzo głęboki. Gdy niósł ją tak przez park, przyglądał się mimo woli jej twarzy, włosom, postaci. Tak pięknej dziewczyny nie spotkał jeszcze w życiu. Miała mały nosek, ślicznie wykrojone usta, zielone oczy pod ciemnymi brwiami i ogniście rude, długie, proste włosy, bardzo gęste, spływające aż do połowy ramion. Ułożył ją na ławce obok budki telefonicznej i przywołał pogotowie. Rozpędził ciekawskich.

Pogotowie zjawilo się wyjątkowo szybko dzięki temu, że podał, kto mówi. Pojechał z dziewczyną do szpitala. Tam, oddając ją w ręce lekarzy, spisał personalia: Iwona Wrońska, lat osiemnaście, panna, zamieszkała przy alei Kościuszki 57. W komendzie napisał raport, dołączył do niego notatkę od dyżurnego lekarza, notes Iwony zatrzymał. Trzeba sprawdzić nazwiska, telefony, adresy. Co to za towarzystwo, które tak się zabawia.

Następnego dnia dzwonił do szpitala, dowiedział się, że Iwona czuje się już dobrze. Za kilka dni mogą ją wypisać. Zadzwoił do niej do domu, gdy dowiedział się, że w szpitalu już jej nie ma. Nic chciał na razie wzywać jej do komendy na przesłuchanie. Umówił się z nią na skwerze, niedaleko jej domu. Usiedli na ławce, przyglądali się w milczeniu ruchowi ulicznemu. Wreszcie odezwała się, głos miała niski, przyjemny:

— Dobrze, że pan przyszedł po cywilnemu. Zaraz by mnie obszczekali, że z milicją się zadaje. Aha, mam podziękować panu. Nie wiem, jak pan się nazywa, ani jaki ma pan stopień służbowy. Podobno uratował mi pan życie. Nie wiem, czy warto było. ale niech będzie, że dziękuję.

Mówiła to wszystko od niechceni, nonszalancko.

Przedstawił się jej. Popatrzyła na niego najpierw trochę drwiąco, potem z wyraźnym zaciekawieniem. Był przystojny i mógł się podobać. Kędzierzawy szatyn z szarymi, uważnymi oczyma, szerokie ciemne, zrośnięte nad nosem brwi, pociągła, opalona twarz. Wysoki, barczysty.

— Niebrzydkich chłopaków milicja teraz zatrudnia, i jeszcze pewnie z wyższym wykształceniem, co? — kpiła dalej. — A karate też się zna?

— Zna się — odpowiedział, uśmiechając się lekko.

— Dobrze wiedzieć — mruknęła i zajęła się cukierkiem, wyciągniętym z torebki. Potem zapaliła. ale Wiktora nie poczęstowała. Domyślił się, że papierosy jej są pewnie narkotyzowane. Powiedział jej o tym. Lekceważąco wzruszyła ramionami:

— E tam. Trochę. Ale i tak panu nie powiem, gdzie je można dostać.

— I tak wiem. U szatniarza, pana Zdzisia, w takiej malej kawiarence na Piotrkowskiej.

— Za dużo pan wie. Niezdrowo.

— Zdrowie mam mocne, wytrzymam. Chcę wiedzieć jeszcze więcej. Kto panią poczęstował proszeczkiem, po którym tak słodko śpi się na parkowej ławce.

— Pojęcia nie mam, jak to było. Siedziałam w dyskotecie. Przysiadło się jakieś towarzyszo. Piliśmy colę... Potem tańczyłam z dwoma, trzeci w ogóle nic tańczył, cały czas siedział przy stoliku. Pewnie mi wsypał to świństwo do szklanki. A potem zaproponowali spacer, do parku. W głowic mi się kręciło, było mi tak dziwnie. Więc pomyślałam, że świeże powietrze dobrze mi robi. Nic więcej nie pamiętam. Tych chłopaków widziałam pierwszy raz w życiu. Jeden miał na imię Mietek, drugi Karol, trzeci zdaje się, że Czesiek... To tyle. Będę musiała iść na komendę, zeznawać?

Pokazał jej malutki japoński magnetofon, który wyciągnął z kieszeni.

— Po co? To mi na razie wystarczy.

— Ach tak?! — rozzłościła się. Policzki jej przy tym zarumieniły się i Bielski pomyślał jeszcze raz, że żadna dziewczyna dotychczas tak mu się nic podobała. — Czy swoje randki z dziewczynami leż pan porucznik nagrywa?

— Randki nie. Ale to nie randka. Służbowe spotkanie. Tyle że na neutralnym terenie, żeby ułatwić nawiązanie kontaktu. Czy pani uczy się, albo pracuje?

Złość jej już przeszła. Machała nogami w masywnych drewniakach.

— Nie. Z liceum mnie wylali już dwa lata temu. z trzeciej klasy.

— Jedynaczka?

— Aha. Czy pracuję, pytał pan. Byle czego robić nie chcę. Zarobię dwa tysiące, to mi nawet na ciuchy nie starczy. Trochę mamie pomagam w agencji. Taki mały barek prowadzi na Kilińskiego.

Tak się zaczęło z Iwoną. Śledztwo Bielski umorzył, bo właściwie nie było się o co zaczepić. Docho-
dzenie w dyskotecę, o której mówiła, częściowo potwierdziło jej zeznania. Byli z nią tacy chłopcy, ale nikt
ze stałych bywalców lokalu ich nie znał. Jacyś przypadkowi, tak w każdym razie twierdzono z uporem. Biel-
ski widział się z Iwoną jeszcze kilka razy służbowo, a gdy sprawa została zamknięta, zaproponował jej raz
kawę. drugi raz kino. kiedy indziej znów wycieczkę za miasto. Nie opierała się, dawała wyraźnie do zrozu-
mienia, że ta sytuacja ją bawi. ..Mam własnego gliniarza" — kpiła dobrodusznie. — ..Nikt mi teraz nic nie
zrobi" Ale zapytana, kto też mógłby jej coś zrobić, mówiła, że nikt oczywiście. To był tylko żart.

Sama zaproponowała, że przyjdzie do niego do domu. Był na tym etapie zakochania, że poczuł się do
głębi wzruszony. Miał już wtedy tę swoją wymarzoną kawalerkę, duży, widny pokój w nowym bloku na
dziewiątym piętrze.

— Ale tu fajnie! — zawołała Iwona, stając na progu. — Czyścioszek z ciebie! Wiesz, tu jest tak po-
rządnie, jakby nikt nie mieszkał. Chyba fruwasz? Przyznaj się.

Zrzuciła w przedpokoju trepy i jednym skokiem znalazła się na wersalce, oświadczając, że napiłaby sie
czegoś.

Wiktor miał już wszystko przygotowane na tę okazję — ciastka, czekoladki, które tak lubiła, butelkę
wermutu. Na życzenie Iwony zaparzył bardzo mocną herbatę, którą piła bez cukru. Kazała mu usiąść obok
siebie. Objęła go za szyję i Wiktor nigdy nie potrafił zrekonstruować sobie w pamięci, co działo się dalej.
Gdy oświadczyła, że musi wracać do domu. wiedział już, że w jego życiu nie będzie żadnej innej kobiety
prócz Iwony.

Siostra Agnieszka, gdy poznała Iwonę, podziwiała jej urodę, ale na brata patrzyła ze zdumieniem i nie-
dowierzaniem. Zmienił się, jego powściągliwy umiar ulotnił się. miał minę psotnego chłopca, któremu udało
się zrobić świetny kawał.

Skromny ślub odbył się w zimie, potem młoda para pojechała na dwu tygodnie do Zakopanego. Szczę-
ście aż rozpiętało Wiktora, miał ochotę biegać, krzyczeć, skakać, wołać na cały świat: Iwona, Iwona, Iwona!
Moja Iwona!

Czy rzeczywiście jego? Czy całkowicie do niego należąca? Kiedy lgnęła do niego całym ciałem, miał
pełnię takiej świadomości. Ale momenty zetknięcia się ich obojga z otaczającym ich światem zaczęły wno-
sić niepokój do tej idylli. Jej zalotność w lokalach, do których chodzili czasami, żeby potańczyć, wzburzała
go. Gdy okazywał zniecierpliwienie, fukała na niego ostro:

— A cóż ty sobie myślisz, że pod kloszem będziesz mnie trzymać? Powinieneś być dumny, że masz
żonę, która wszystkim się podoba...

Raz spotkali na Gubałówce jakieś młode, duże towarzystwo, zachowujące się hałaśliwie i bez pardonu.
Owacyjnie powitali Iwonę, ona również ucieszyła się na ich widok. Przysiadła się do ich stołu, pozostawia-
jąc Wiktora w samotności nad jego kawą. Opowiadała im coś z ożywieniem, oni wybuchali raz po raz hura-
ganowym śmiechem. Od czasu do czasu z ukosa łypali na Wiktora; widocznie to, co mówiła Iwona, jego
dotyczyło.

Wstał, podszedł do stolika i powiedział spokojnie, lecz stanowczo:

— Idziemy, kochanie. Jutro rano odjeżdżamy. a jeszcze nie spakowaliśmy się.

Wesołe bractwo znów popatrzyło na Wiktora, ale nie było w spojrzeniach młodych ludzi życzliwości.

— Ach, tak! - frunęła jak spłoszony ptaszek. — Na śmierć zapomniałam. No to hej, kochani! Do zobaczenia...

— Co to za jedni? - spytał Bielski, zasepiony i rozżalony, gdy czekali na kolejkę, by zjechać w dół do miasta.

— A, tacy tam... Kumple z Łodzi. Ziewała, udawała senną, przytulała się czule.

Pocieszał się: cóż to znaczy takie jedno, przypadkowe spotkanie, życie, które prowadziła, zanim się związali ze sobą, na pewno nie trąciło regułą zakonną. Przecież o tym wiedział. Wierzył tylko, że to skończone i że potrafi Iwonę uformować od nowa, na swój sposób.

Wrócili do Łodzi. Czy tak wyobrażał sobie Wiktor szczęście we dwoje? Nie umiałby dać na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Iwona była wciąż jeszcze istotą najbardziej uwielbianą, pożądaną, do której odnosiło się wszystko, co robił. Jego myśli nieodmiennie krążyły wokół niej. Co jej kupi, co zrobi, żeby sprawić jej przyjemność, dokąd pójda wieczorem, jak spędzą niedzielę. Ale coraz trudniej udawało się uzyskać jej aprobatę. Coraz mniej bawiły ją proponowane przez Wiktora rozrywki. Teatr i kino akceptowała tylko wtedy, gdy grali „coś śmiesznego” albo bardzo sentymentalnego. Na wystawy chodzić nie chciała, muzyki poważnej nie rozumiała. Z książek uznawała tylko kryminały. Gdy wracał z komendy do domu, zastawał ją w rozchełstany szlafroku na wersalce, obłożoną barwnymi tygodnikami i sięgającą raz po raz do pudełka z czekoladkami. Z radia, nastawionego na pełny głos, wydobywały się zawsze dźwięki jazzu. W pokoju panował wiecznie rozgardiasz — majtki, pończochy, swetry, szaliki, plastikowe torby, opakowania po sprawunkach poniewierały się gdzie bądź. Na-stoliku lakier był już cały popstrzony od wypadających z przepelnionej popielniczki niedopałków. W zlewozmywaku piętrzyły się brudne naczynia., w przedpokoju panoszyła gromada zabłoconych trepów, bucików, kozaków. Wiktor, z początku narzekając i strofując Iwonę dobrodusznie, zbierał to wszystko, umieszczał na właściwym miejscu, wynosił śmieci, zmywał naczynia. Potem robił to bez słowa, a jeszcze później wpadał w zwyczajny gniew. Mimo to nie chciała prowadzić domu. W ogóle nie chciała chyba niczego.

— Może zajmiesz się czymś — proponował cierpliwie Wiktor. — Zapisz się na jakiś kurs, ucz się jakiegoś obcego języka...

— A to mi na co? — wybuchała śmiechem. Po francusku będziemy ze sobą gadać, czy jak?

Przeciągając się leniwie, wyznawała, że „chce żyć”. Ciekawie, barwnie, aż do utraty tchu, na całego — ale nie umiała wyjaśnić, na czym owo życie miałoby polegać. Nudziła się. Gdy Bielskiego zatrzymywały dłużej zajęcia służbowe, telefonowała do niego i robiła piekielną awanturę:

— Nie chcę być sama, rozumiesz? Uwiązana jak pies do budy. Nie chcę! Przyjdź, przyjdź zaraz. Ja się boję być sama... — dodawała cichutko i pokornie, bo wiedziała, że to zawsze robi na nim wrażenie i przyspiesza jego powrót do domu. Ale dlaczego się bała, czego, kogo — nigdy nie mógł się od niej dowiedzieć

Na początku oddawał jej całą pensję. Pewnego miesiąca po dwóch tygodniach oświadczyła, że nie ma już ani grosza. Kupiła adapter, płyty i magnetofon. W mieszkaniu zrobiło się jeszcze skoczniej i tak hałaśliwie, że interweniowali sąsiedzi, a Wiktor musiał pożyczyć od kolegów pieniędzy, żeby starczyło na życie do pierwszego. Od tego momentu zaczął jej wydzielać określone sumy na osobiste wydatki. Sprawunki domowe robił sam. Po jakimś czasie zaczęła go sąsiadka i niesłychanie zażenowana upomniała się o dwieście złotych, które pożyczyła pani Iwonie, bo podobno pan porucznik zapomniał zostawić jej pieniądze na opłacenie telefonu. Okazało się, że w całym wielkim bloku nie ma prawie mieszkania, gdzie Iwona nie pożyczylaby jakiegś większej lub zupełnie drobnej sumy.

I kłamała, kłamała, kłamała. Bez żadnych zahamowań, nałogowo, obojętne, czy istniał powód, czy bez żadnej potrzeby. Wymyślała jakieś mai: przygody i większe tarapaty, które okazywały się wyłącznie jej wymysłem od początku do końca.

A potem zaczęła znikać. Najpierw na parę godzin, później na dłużej. Czasami wracała późnym wieczorem, ale rozpoczął się w końcu cykl powrotów dopiero nad ranem. Raz mówiła, że spędziła czas u przyjaciółki, innym razem, że u rodziców. Sprawdzał, było to nieprawda. Zalaatywało od niej alkoholem, nadszedł jednak i taki okres, gdy stawała w drzwiach półprzytomna i dotarłszy prawie na oślep do tapczana, waliła się bezwładnie jak kłoda, z miejsca zapadając w sen. Okresy melancholii przeplatały się to z otępieniem, to z nienaturalnym ożywieniem.

Wiktor był świadom tego, co się dzieje i czuł się najniezwyklejszym z ludzi. Cierpiał tak bardzo, że odbiło się to i na jego wyglądzie, i na pracy. Próbował zatrzymać rozkład swojego małżeństwa. Bezskutecznie.

Kiedyś odeszła i nie wróciła. Bielski przetrząsnął całą Łódź, nie było meliny, do której by nie zajrzał. Nigdzie jej nic było, nikt nic wiedział, gdzie się podziała. Ktoś zauważył ją podobno na dworcu. Po tygodniu przyszedł list, wysłany z Warszawy;

„Odchodzę. Nie szukaj mnie. Gdybym została, złamałabym ci życie do reszty. Zrozum, ja bez tego obejść się nie mogę. Nie potrafię i nie chcę. Żegnaj, Wik. Zdaje się, że kochałam ciebie. Ale to minęło. Nic gniewaj się. — Iwona”.

Nie mógł dłużej taić sprawy w komendzie. Prosił, by pozwolono mu po zakończeniu śledztwa wyjechać z miasta. U progu zasłużonego awansu błagał, by mu pozwolono pełnić służbę w byle jakiej małej miejscowości, z dala od dużych skupisk ludzkich, na szczeblu służbowym, który uznano by za właściwy.

Szeroka obława wyłuskała wśród łódzkich „urodzonych w niedzielę” kilka osób, które przyznały się w końcu do utrzymywania bliskich stosunków z Iwoną. Jeden, wysoki, postawny blondyn, którego twarz Wiktor zapamiętał z Gubałówki, miał na imię Czesiek, mówił;

— „Ruda”? Ćpała od lat. Za jednego procha albo „trawkę” można ją było do piekła zaprowadzić. Nie tylko do parku Poniatowskiego. To była frajda, jak się machnęła za pana porucznika. Z początku tośmy się bali, że sporządnieje i sypnie. Ale z niej była równa babka. No i postraszyliśmy ją trochę. I obiecaliśmy to i owo, jeżeli będzie grzeczna...

Ale nie chciał powiedzieć, gdzie Iwony można szukać.

Odnalazła się wreszcie po miesiącu w Pruszkowie. Łaska losu sprawiła, że nie musiał w tej sprawie prowadzić dochodzenia, składał tylko zeznania jako świadek. Kiedy uniesiono białe prześcieradło i kazano mu rozpoznać zwłoki, wydało mu się w pierwszej chwili, że Iwona śpi. taki spokój malował się na jej twarzy. Wśród bezładnie rozrzuconych, gęstych rudych włosów nie widać było głębokiej rany, która spowodowała śmierć.

Nie udało się złapać wszystkich, którzy obecni byli w melinie, kiedy wypadła z okna. „Wyszła” z okna - tak to określił jeden z uczestników libacji. Twierdzili zgodnie, że sama zażyła coś z torebki, ale jedna z dziewczyn bąknęła, iż czarny, zwali go „Cyganem”, wepchnął jej coś do ust, kiedy była już zalana.

— LSD — wyjaśnił Wiktorowi lekarz sądowy. — Powoduje nie tylko halucynacje, ale stwarza popęd do biegu, jakby do lotu. Człowiek traci poczucie przestrzeni. Alkohol maksymalizuje jeszcze działanie nar-

kotyku. Objawy nakładają się na siebie, nazywamy to synkretyzmem. Wychodząc przez okno, choćby, jak w tym przypadku, z trzeciego piętra, ma wrażenie, że biegnie...

W komendzie załatwiono prośbę Wiktora Bielskiego przychylnie. Tak znalazł się w Topolewie, biurko w biurko z niechętnym mu Greniem, wśród ludzi, z których nie znał nikogo.

Rozmyślał często nad sprawą Iwony nie tylko jako jej mąż, ale jako fachowiec, milicjant. Co powinien był zrobić, żeby uniknąć tego, co się zdarzyło? Teraz wie to, czego nie wiedział wtedy, albo nie chciał wiedzieć: że Iwona może być nadal związana ze swoją narkomańską ferajną. Powinien był wyjechać z Iwoną z Łodzi. I powinien był ją leczyć, choć stawiała opór. Stchórzył, bał się, że ją utraci, że Iwona przestanie go kochać. Zapłacili za jego tchórzostwo oboje. Kumple ciągnęli z niej pieniądze, być może też jakieś informacje. Bielski nie rozmawiał wprawdzie w domu o sprawach służbowych, ale kto wie, czy nie wymknęło mu się czasem jakieś nieopatrzne słowo, cenna wskazówka przekazana przez Iwonę przyjaciołom. Gdy powiedziała, że odchodzi od Bielskiego — przestała być dla nich użyteczna. Poza tym musiała już być w bardzo złym stanie, gdy znalazła się w pruszkowskiej melinie. Niech taka trafi w ręce milicji albo do szpitala, zaraz wyśpiewa od kogo co dostawała. Wsypa gotowa. A więc nie tylko nieużyteczna, ale i niebezpieczna. Tak. Iwona sama wydała na siebie wyrok śmierci. Bo mogą sobie opowiadać co chcą ci wszyscy wielbiciele pacyfizmu, sprawiedliwości i braterstwa prawdziwi albo rzekomi — ale w momencie, gdy czują się zagrożeni, gotowi są na wszystko. To się zdarzyło z Iwoną.

I to może zdarzyć się z Ryśkiem Kabatem. Za dobrze znał Bielski prawa rządzące młodzieżowym podziemiem, aby mieć co do tego jakieś złudzenia. Usiłował to wytłumaczyć Groniowi, lecz ten w ogóle nie słuchał, zapatrzonej w jakiś sobie tylko znany punki. Wiktor rozumiał: Groń chce mieć wielki atut w rękę. którym bić będzie później kolejno wszystkie chuligańskie czy inne formacje młodych „gniewnych”. Chce, żeby mu sami weszli w sieć. Oto sukces nie tylko techniczny, fachowy — ale wychowawczy, polityczny. Tylko, czy to jest wykonalne?

Groniowi wpadł w ręce samotny bohater, któremu kolesie, zawiedzeni w swoich nadziejach i zdradzeni przez niego, po prostu wetkną nóż w plecy.

Gdyby Bielski pozostawił teraz Ryśka Kabata swojemu losowi, powtórzyłby swój błąd. popełniony w stosunku do Iwony. Tak to wygląda, jeżeli nawet Bielski przeciwstawi się poleceniu przełożonego. Niesubordynacja? Tak. Musi ją popełnić, by uratować i Ryśka, i Grenia — i może jeszcze coś z siebie samego.

Podniósł się z fotela, otworzył szufladę staromodnej komódki. wyjął płaską walizeczkę, zamykaną na szyfrowany zamek. Wyciągnął z niej mapę Topolewa i okolic, sporządzoną fachowo przez niego samego. Na mapie kółka, krzyżyki, cyfry, mające rozmaite znaczenie, zrozumiałe tylko dla niego. W tej chwili interesowały go te oznakowania, które dotyczyły miejsc młodzieżowych spotkań. Czasem zwykłych, koleżeńskich — a czasami konspiracyjnych. Wyśledził je podczas swoich długich spacerów po Topolewie. o których mało kto z posterunku wiedział, bo po prawdzie nic interesowało ani Gronia, ani nikogo, co porabia w czasie wolnym od służby ich nowy kolega.

Eliminował poszczególne punkty, w których mógłby ukryć się Rysiek. W parku za kinem — z pewnością nie. Za blisko posterunku. W zrujnowanym dworku za groblą — za daleko. W domu go nie ma. Do dziewczyny też nie poszedł. Zbiera teraz siły do rozprawy i z Gromem, i ze swoimi podwładnymi. Musi więc być sam.

Bielski wytypował dwa miejsca. Ani za blisko, ani za daleko od posterunku. od centrum Topolewa. Założył pas, zapiął kaburę, zarzucił zielonkawy prochowiec, żeby mundur nie rzucał się nikomu w oczy i wyszedł.

Najpierw poszedł na łąki. Cześć z nich, porośniętą rzadkimi brzoźkami i wysoką, szorstką trawą, nazywano szczotkami. Kiedyś były tu bagna, jeszcze dawniej - może jezioro. Teraz torf miękko ugiął się pod nogami. Wyschłe koryta małej rzeczki osłaniały niskie, karłowate wierzby. Wśród kołących zarośli tarniny leżał wielki, sury głaz ze znakami, których nikt nie umiał odczytać. Chłopcy lubili się tu spotykać. Ale teraz było tu pusto. Tylko słowik w tarninie ośpiewywał teren swoich łowów.

Bielski zmienił kierunek, przeciął tory kolejki i zagłębił się w gąszcz topolewskich lasów, stanowiących pozostałość dawnej rozległej puszczy. Niebo już jaśniało, ale w samym lesie było jeszcze bardzo ciemno. Posuwał się jak najciszej i powoli. Nic z lęku. Po to, by nie spłoszyć kogoś, kto tak jak on czai się być może w tym lesie, idąc tropem Ryśka Kabała. Wysoka czerwcową trawą i grube płaty mchu skutecznie tłumiły odgłos kroków Bielskiego. W pewnym momencie po ciemku o mało nie wkroczył wprost na szeroką leśną ścieżkę, obrzeżoną paprociami. Cofnął się w ostatniej chwili i przylgnął do grubego pnia dębu. Przed nim, tuż za ścieżką, widoczny poprzez rzadziej tu rosnące sosny, odcina się ostrym konturem na tle jaśniejszego nieba stromy zarys tak zwanej Górki Czarownicy. Od drugiej strony dziwny ten twór geologiczny spada łagodnym zboczem w stronę krzaków leszczyny, jeżynowych chaszczki i borówkowych poletek. Ale tu, od południa, od strony Topolewa — jakby go ktoś nożem odkroił. Istne urwisko, tylko że w miniaturze. Środkiem biegnie stroma ścieżka, wydeptana przez spacerowiczów i wyjeżdżona przez dzieci, saneczkujące tu zimą. Dobrze stąd widać spłaszczony trochę czubek górki. Rysuje się na nim posiać, wyglądająca z tej odległości na mniejszą, niż jest w istocie. Gdyby Bielski miał jeszcze jakieś wątpliwości, czy to Rysiek, czy jakiś inny przypadkowy wędrowiec, wyprowadziłoby go i błędu to, co dzieje się u stóp górki w krzakach. Oczywiście. Rysiek ze swojego gniazda nie może słyszeć szelestu listowia, łamania suchych gałązek, ściszonych szeptów. Słyszy je jednak Bielski ze swojego punktu obserwacyjnego. Ilu ich jest? Czterech, czy pięciu? Poruszają się jak duchy. Ale oto zatrzymali się wśród małych brzożek i zarośli olszyny, ucichli i przylgnęli do trawy. Czekają w milczeniu.

Rysiek lubił takie miejsca, położone wysoko, z których mógł patrzeć na otoczenie z góry. Czasem dawały mu poczucie bezpieczeństwa, stanowiły azyl w obliczu zagrożenia ze strony świata dorosłych. Gdy za jakiś wybryk, albo i bez tego, w przystępie gniewu na cały świat i własny los ojciec zabierał się do bicia Ryśka, chłopak jednym skokiem dopadał wysokiej topoli rosnącej przy płocie ich domu i jak akrobata wdrapywał się prawie na sam jej czubek. Ha wiło go do rozpuku, jak stary bezradnie biegał w kółko dookoła drzewa i odgrzązał się.

Wkrótce odkrył jeszcze jedno miejsce, dające mu przewagę nad wszystkimi, którzy chodzą sobie zwyczajnie nogami po ziemi. Był to dach. Najpierw rozwalającego się drewniaka, w którym mieszkali Kabatowie, u potem dach szkoły. Przebywanie na tej wysokości wyodrębniło go spośród otoczenia, czuł się podniośle, wywyższony jak jaki król na tronie. Patrzył z wysokości komina na rodzinę albo na szkolnych kolegów i wyobrażał sobie, że nimi rządzi. Zbiegali się tłumnie, aby popatrzeć, jak to Rysiek siedzi na dachu ze swoją gitarą i popisuje się jeszcze w dodatku różnymi przyśpiewkami.

Trzeci etap patrzenia z góry na świat rozpoczął się, gdy Rysiek odkrył Górę Czarownicy. Ale już nie jako miejsce zabawy, służące do zjeżdżania po śniegu na teczce z braku sanek — lecz jako swego rodzaju sanktuarium. Około dwudziestometrowej wysokości piaszczysty pagórek wyrastał ni stąd ni zowąd na płaskim terenie, porośniętym lasem. Nic wiadomo dlaczego od niepamiętnych czasów nazywał się Górką Czarownicy. W każdym bądź razie miejsce miało swoją osobliwą atmosferę niezwykłości i tajemnicy. Sam szczyt pagórka, nieco spłaszczony, obrośnięty dookoła pierścieniem młodych brzożek — samosiejek, tworzył polankę, pachnącą późnym latem tymiankiem i cząbrem.

Na tej polance Rysiek lubił spędzać czas 'nic tylko w dzień, ale i w nocy. zdawało mu się, że tu więcej wolności niż gdzie indziej.

Było to już w czasie, kiedy pałętał się przy klubie. Sporo tu przychodziło takich chłopaków, jak on, niezadowolonych z losu, znudzonych płaską codziennością. Wybrał sobie spośród nich dziesięciu. On sam, jako przywódca, był jedenasty. Mógł mieć więcej podwładnych. Kandydatów było wielu. Nawet Boguś Groń chciał koniecznie do paczki przystać, ale reszta się nie zgodziła: jak mu stary da wycisk, to sypnie. Obyło się więc bez Bogusia. Ale gdy tak siedzieli kołem na szczycie pagórka, nie bardzo wiedzieli, co mają robić, żeby się uszczęśliwić. Wtedy to Kabat zaprowadził ferajnę do magistra Andrzeja Kotkowskiego. Liczy! na jego inwencję, pomysłowość, wyrobienie życiowe. Ale nic z tego nic wyszło. Kotkowski tylko słu-chał, głową kiwał, zadawał pytania. Chłopcy czuli się skrepowani, gadali bez sensu. Dali Kotkowskiemu spokój.

Krzysiek, który ubóstwiał wodę jak kaczka, rzucił myśl, żeby zbudować jacht. Wielki jacht, nadający się do dalekiej żeglugi. Popłyną sobie nim w świat, są jeszcze chyba wśród bezmiarów oceanów jakieś puste, bezludne, niczyje wysepki, na których mogliby zamieszkać. Rodzice Krzyśka, dość zamożni ludzie, rozwiedli się; był jedynakiem i zarówno ojciec jak matka usiłowali przeciągnąć syna na swoją stronę. Czynili to przede wszystkim przekupując go to wycieczką, to pokaznym kieszonkowym, atrakcyjnymi prezentami. Kiedyś Krzysiek się wściekł, miał tego dość. Młotkiem z kompletu „Mały stolarz”, który dostał od ojca na imieniny, rozłukł na proszek elektroniczny zegarek, otrzymany od matki na Boże Narodzenie. Przestał się uczyć i zaczął się objać. On właśnie przyniósł raz mapę obu ziemskich półkul. Wodzili oczyma po szeroki-ach błękitnych przestrzeniach między ładami, wytyczali kierunki uprawionego rejsu.

Rysiek leży teraz na wznak na trawie na Górcie Czarownicy i przypomina sobie, jak to się zaczęło. To chyba Waldek od Banaszczaków najmłodszy z rodzeństwa i najmłodszy w ich paczce, rzucił na spotkaniu u Kotkowskiego owo pamiętne: „Jest na to sposób”. Mietek, syn „Lewego”, dorabiający sobie gładko w meli-nie ojca wypróżnianiem kieszeni pijanych do nieprzytomności bywalców, kopnął wtedy Waldka w kostkę i chłopak nabrał wody w usta. Potem Mietek pouczał młodszego kumpla:

— Szajba ci odbiła, czy co, żeby przy czerstwiaku farbę puszczać?

— No, gadaj teraz - rozkazał Rysiek, kiedy od Kotkowskiego poszli na Górkę, żeby jeszcze trochę po-gadać.

— Są tu takie chaty w Topolewie — mówi! z rozmarzeniem Waldek —? gdzie wszystkiego jest a jest. I forsy, i różnych kłopotów... Nic tylko brać. Na co tym dzianym zgredom tyle dobrego? Nawet nic poczuja, jak im ubędzie.

— Niegłupio myślisz, mały — odezwał się najstarszy. Marek, który odsiedział już dwa wyroki. Był śniady, włosy miał ciemne i skręcone jak karakułowe futro, czarne oczy mu połyskiwały ponuro spod krza-czastych brwi. Podtrzymywał tradycję rodzinną: jego ojciec spędził za kratkami większą część swego doro-słego życia. Matka znalazła sobie jakiegoś nowego partnera i znikła, zostawiając Marka swojej matce inwa-lidce. Starowina nie mogła sobie poradzić z wnukiem. Oddychała z ulgą, kiedy zabierała go milicja. Było to ponad jej siły: utrzymywać takiego huncwota z mikroskopijnej renty. Aktualnie Marek był na wolności i — jak powiadał — „żył z babci”. Nic mieszkał w Topolewie. dojeżdżał jednak często, miał tu swobodę, wesołą kompanię i nikt go nie znał. Ale nie wiedzieli, gdzie mieszka, trzymał to przed nimi w tajemnicy. Od czasu do czasu ćpał, bo mówił, że życie to jedna zaraza. Przypuszczali, że handluje narkotykami, ale nie dopyty-wali się. Jego rzecz, co to kogo obchodzi.

Właściwie sam do nich przystał, pewnego dnia w klubie podszedł do Ryśka i mruknął:

— Hej. Słuchaj no, podobno coś kombinujecie?

— A bo co? — odpowiedział Rysiek pytaniem na pytanie.

— Zabawiłbym się z wami, bo mi nudno. Chłopcy orzekli: „Niech tam będzie”, a Rysiek doszedł do wniosku, że może im się przyda taki, co to już dużo wie.

Poza tym Marek miał gitarę, co stanowiło nic lada atrakcję na zbiórkach. Niskim, nieco zachrypniętym głosem śpiewał „Dom Wschodzącego Słońca” i tę piosenkę, którą najbardziej lubili, a która dla większej części z nich, nie wiedzących jeszcze, co to poprawczak albo więzienie, tchnęła posepną melancholią i tajemniczą egzotyką: „Czarny chleb, czarna kawa. opętani samotnością myślą swą szukają szczęścia, które zwie się tu wolnością...” Gotowi byli płakać, gdy słyszeli słowa: „Gdy nadejdzie chwila zła i powstrzyma oddech mój. ktoś wyniesie moje ciało, a na celi będzie znów czarny chleb, czarna kawa...”

— Ale na sposób musi być sposób — odezwał się Wacek jękała, który koniecznie chciał zostać artystą kowalem, ale starzy siłą wpakowali go do zawodówki na ślusarstwo. Zdażył już zimować w pierwszej klasie. Za dużo czasu zajmowało mu drukowanie na bawełnianych koszulkach portretów Hendrixa i handlowanie nimi na ciuchach. Za zarobione pieniądze skupywał gdzie się da różne części samochodowe. Zamierzał własnoręcznie skonstruować samochód. Wśród starszych pań słynął jako greczny chłopiec: drobny, szczupły, kłaniał im się z gracją, spoglądając błękimymi oczkami spod równo przyciętej blond grzywki i uśmiechając się niewinnie. Na puciołatej buzi miał mnóstwo piegów. Swoją własną koszulkę przyozdobił wielkim hallem: „I am fre” i paradował w niej całe lato.

— Żeby tylko mądry sposób, a nie głupi — zauważył Marek i odkładając na bok gitarę zrobił im fachowy wykład. Bo to trzeba dobrze pogłówkować. Przykręcili teraz śrubę. Powiedzmy, gwałt. To się już teraz w ogóle nie oplaca, dziesiątkę można zarobić jak nic. Dajmy na to napad. Też nie, bo liczą za rozbój. Więc najlepsze to małe skoki, byle dużo, albo kilka większych, na pewniaka. I najlepsze do tego małolaty, w poprawczaku da się jeszcze jakoś żyć. Jeszcze jak półwolnościowy rygor dadzą... Ja na ten przykład muszę uważać, mam dwadzieścia jeden skończone.

Słuchali uważnie, a on znów wziął gitarę i zaśpiewał: „Zbuduję sobie tratwę, popłynę rzeką w dół, zbuduję sobie szałas na prerii pośród ziół- O. blues jest wtedy, kiedy człowiekowi jest źle...”

— A może by tak... He, he, he - zarechotał basem Janusz, wielkie, rosłe chłopisko z długą, jasną czupryną opadającą mu ciągle na oczy. — Może by tak spróbować z kamieniem. Z moim starszym bratem robiliśmy sobie kiedyś taki ubaw. Podchodziliśmy wieczorem pod jakiś dom i dla hecy rzucaliśmy kamieniem w okno. Jak się robił harmider, to my w nogi. Ale czasem to nic z tego nie wychodziło, nikt nic wyskakiwał na dwór. Zwyczajnie, nic było nikogo w domu. Tośmy szli dalej. Można to zrobić na odwrót. Rzucić kamień, zbić szybę, a jak nikt się nie odezwie i światło się nie zapali, to my przez rozbite okno hyc do środka. Bierzemy swoje i spływamy.

Można było uwierzyć, że Janusz potrafi cisnąć kamieniem na odległość, dzielącą dom od płotu i wybić nim w dodatku szybę. Jeszcze w szkole był najlepszym sportowcem i marzył o karierze co najmniej Baszanowskiego. Niestety, podobnie jak Rysiek Kabat, nie znalazł protektora i patrona. Trzeba było zadowolnić się noszeniem kubłów z glina, i" narzędzi za ojcem zdunem. Matka czasem sprzątała „po ludziach”.

— Wiem, co kto ma w domu, na czym kto siedzi — dodał Janusz z przechwałką.

— Niegłupie — zaaprobował Kajtek, syn tak "zwanej „starej” Kuflińskiej, aby ją odróżnić od Kunińskiej „młodej”, synowej, żony najstarszego z potomstwa. Stara Kuflińska miała budkę z lodami i piwem niedaleko stacji, młoda, już uczona — rezydowała w aptece jako pani magister. Aktualnym najgorętszym marzeniem Kajtka

było zemścić się na matce za donos, jaki na niego zrobiła do komendanta Gronia.

Zdzisiek, średni od Pawlusów i Jacek Karaś, brat Feika, zamierzającego żenić się z czarną Irką, prowadzącą się dość swobodnie - głosu nie zabierali. Nie mieli nic do powiedzenia. Przywykli ćlepo słuchać Ryśka, od dawna stanowili jego •gwardię przyboczną. Zdzisiek urwał się był właśnie z technikum kolejowego, gdyż stwierdził, że te mądrości to nie na jego głowę. Wbrew woli ojca, motorniczego kolejki, który chciał koniecznie, żeby syn jego leż był! kolejarzem. I przejazdy darmo, i węgiel na zimę przydzielają. A Zdzisiek chciał iść do cyrku. Zwiny był jak piskorz, ruchliwy i zręczny jak wiewiórka. Jacek niczego właściwie nie chciał, o niczym nie marzył, do niczego nie dążył, miał żal do całego świata, że nic mu się nie udaje — a największy do brata Felka, że się żeni. Jeszcze mniej będzie miejsca w chałupie, gdzie i bez tego ciasno.

Pomysł Janusza spodobał im się. Zaczęli gorączkowo przerzucać się uwagami. Już czuli się w posiadaniu krociowej fortuny, o którą ubożsi staną się ci, którzy na nią wcale nie zasługują. Już płynęli na swoim jachcie w rytraic „Bluesa tratwy”, aby tylko jak najszybciej i jak najdalej znaleźć się od wszystkiego, co gnębiło ich na co dzień. Wreszcie zabrał głos Rysiek:

— Momento, kochani. Jeżeli chcemy, żeby coś z tego wyszło, trzeba podzielić robotę, co i k!o ma robić, to raz. Wybrać adresy, żeby było warto ryzykować skok. To dwa. Przecwiczyć kilka razy całą operację, to trzy.

— I ksy... ksy... ksywki muszą być — wyjąkał "Wacek, który zawsze marzył, żeby mieć jakiś pseudonim.

— Ma się rozumieć — przytaknął Marek. — Jak gang, to gang według reguł. Kto widział gang, żeby mówili sobie po imieniu, jak u cioci na imieninach. Ach, stracić, stracić swoją powszednią osobowość, odciąć się od zgizebno-burej egzystencji.

A więc Krzysiek został Kolumbem, bo marzyły mu się morskie podróże. Tadek — Badyłem, bo wysoki i chudy; Mietek, syn „Lewego” — Prawa-sem, żeby było odwrotnie i śmiesznie i żeby nikt się nie domyślił, o kogo chodzi. Waldek miał się teraz zwać Małym, bo najmłodszy; Wacek wybrał sobie pseudo Wolny; Janusz dostał pseudonim Kamień; Kajtek pozostał przy Kuflu, choć tak, skracając jego nazwisko, wołano na niego i w szkole — lecz nic innego nie przyszło im do głowy. Jacek — Łamaga, no bo wiadomo, pechowiec. Zdzisiek — Akrobata. Były pewne spory przy pseudonimie dla Marka. Chciał koniecznie, żeby wołali na niego Czarny, ale oni uparli się przy Cyganie.

— Koło Cyganów nawet nie chodziłem — fuknął, obrażony i pomyślał ze złością: który to już raz ma przyłgnąć do niego ta ksywa... Właściwie — niedobrze. Gdzieniegdzie znają go już jako Cygana. Ale nową swoją paczkę właściwie lekceważył, młode to, głupie, niedoświadczone, słowem — szczyłe. Z drugiej strony to mu odpowiada, że właśnie tacy ludzie. Sam będzie się trzymać na boku, do czasu. A jeżeli rzeczywiście wyjdzie coś z tych ich pomysłów, weźmie całą bandę za pysk. Już on to potrafi. W Strzelcach pół więzienia go słuchało, należał do „charaterniaków”. Był „festem”.

Rysiek chciał, żeby nazywali go szefem! Po prostu — szefem. Ale zaoponował Marek: jak. wszyscy, to i szef musi mieć pseudonim.

— Wiesz ty co — powiedział niby dobrodusznie, ale w głosie jego wyczuwało się lekką kpinę. — Ty powinienes się nazywać Marzyciel. Bo marzą ci się różne tam takie rzeczy...

— To fajne — zawołali unisono Jacek i Zdzisiek.

Reszta też była „za”. Co to komu szkodzi. Ryśkowi nie bardzo to się podobało: jakoś niepoważnie. Zgodził się jednak, nie chciał zrażać sobie kumpli grymasami.

Grunt, że poddali się jego woli. Ćwiczyli usilnie rzuty kamieniem, szybki bieg, ciche podkradanie się, orientację po ciemku, zacieranie za sobą śladów. Zrobili lisie domów, które warto splądrować. Wyszukali daleko w lesie resztki wojennych bunkrów i tam założyli zamaskowany schowek na przewidzianą zdobycz. Obowiązywać miała zasada, że na razie, dopóki łup nie osiągnie jakiejś pokaźniejszej wartości, nikt niczego nie rusza. Niczego się nie upłynnia, wszystko stanowi wspólną własność bandy. I zaczęli.

— Rzucaj! — padła którejś nocy szeptem wydana komenda.

Duży, okrągły kamień zakreślił zgrabny łuk i wylądował w szybie parterowego okna. Brzęk szkła. Nawet nie taki donośny, jak się tego spodziewali. Skok przez ogrodzenie. Psy ujadają, ale to może i lepiej, zagłuszają szmery. Ręka owinięta szmatą wykrusza resztki szyby, sięga od wewnątrz do klamki. Droga wolna. Rozkład mieszkania znany. Miejsce, w którym są przechowywane pieniądze i biżuteria — także. Po dziesięciu minutach jest już po operacji. Ulatniają się bezszelestnie, biegną, za najbliższym rogiem zwalniają, dalej idą sobie powolutku, spacerowym, nonszalanckim krokiem, przyjacielsko gawędzą. Marek wylania się z krzaków, gdzie siedział na czatach, z gitarą, zaczyna beztrząsowo podśpiewywać: „Już słońce zaszło gdzieś w dali, i mgła się ściela u stóp, idziemy dalej i dalej, gdzie tylko ciemność i chłód”. Bardzo im się to podoba. I ta noc, i udany skok, i ten śpiew, przyprawiający o rozkoszny przenikliwy dreszcz. Z wrażenia są spoceni, zadyszani, podnieceni, jak gdyby pili alkohol. Tadek zabiera szmaty, którymi owijali ręce i stopy, gumowe rękawiczki oraz proszek, którym zasypali swoje ślady w ogródku i na ścieżce, ukryje to w garażu ojca. Rysiek upycha łup w zwykłej, plastikowej torbie na zakupy. On zasuwa teraz do meliny, żeby schować w niej tę pierwszą zdobycz, nikt nie biega szybciej niż on. Do asysty dobiera sobie Janusza — ten także umie nogi wprawiać w ruch. Ale Marek jest nieufny i podejrzliwy, zgłasza się na trzeciego. Kto ich tam wie, czy po drodze nie drapną czegoś... Okazuje się, że też potrafi galopować po lesie, i to po ciemku.

W melinie, przy świeczce, spisują zawartość plastikowej torby: tysiąc sto dolarów, bransoletka złota, dwie obrączki, złoty zegarek, srebrna paterka, kołnierz z białego lisa, tranzystorowe radio. Wywłaszczonym jest badylarz, hołujący gerbery, wuj Krzyśka.

Ile było tych napadów? Rysiek uśmiecha się z rozbawieniem, kiedy wraca pamięcią do rozmowy z Groniem. Właściwie to Bielski, ten nowy gliniarz, który na początku nic się nie wtrącał i siedział przy biurku sztywno, jakby połknął kij, zadał pytanie Groniowi:

— To ile było tych kradzieży?

— Sto—odpowiedział komendant.

— W Topolewie?

— W Topolewie i w okolicy.

— To ta Firlejowa ma rację, trzeba ich było dawno zatrzymać.

— Zatrzymać? — zdziwił się Groń. — A kogo? Przejedźcie się choćby teraz kolejką, w tej chwili. Ile takich grupek sobie podróżuje! Tu wskoczą, na trzeciej stacji wyskoczą. Piwko wypiją i z powrotem.

Rysiek przyglądał się uważnie to Groniowi, to Bielskiemu, zastanawiając się, który z nich lepszy dla niego jako partner do rozgrywki. Gronia się zna. a tamten to jakiś sztywniak. Uśmiechnął się więc poufale

do Gronia, jak gdyby czyniąc z niego sojusznika. Przytaknął głową, dając do zrozumienia, że na równych prawach uczestniczy w rozmowie. Wtrącił się rzeczowym tonem:

— Jeśli pan komendant pozwoli... Pan komendant ma rację. Za co zapudłować? Chłopaki sobie jeżdżą dla rozrywki. To chyba niekaralne. A co do tych skoków, to pan komendant nie ma racji. Ich było sto dziesięć.

Bielski zachnął się. Widać było, że z trudem tłumi wybuch gniewu.

— Sprostujemy, synku — odparł Groń spokojnie. — Tylko ty musisz nam pomóc. Powiesz wszystko po kolei. Kto wchodził w skład twojej bandy.

— Tylko nie bandy, nie bandy. My nie bandyci.

— Jeszcze nie — warknął Bielski.

— Nic nie powiem — rzucił ostro Rysiek, dając komendantowi do zrozumienia, że temu nowemu, obcemu, nic do ich rodzinnych, topolewskich spraw.

Wtedy to właśnie Groń spławił Bielskiego, co bezbłędnie rozszyfrował Rysiek Kabat.

Nie przyznał się Groniowi, ale najbardziej uraziło go i zbuntowało przeciwko Bielskiemu to jego „Jeszcze nie”. Nie dlatego, żeby Rysiek odmawiał Bielskiemu racji — ale dlatego. Że Bielski miał rację i Rysiek doskonale o tym wiedział.

„Jeszcze nie”. Oto las. Oto noc. I oto on, Rysiek, samotny na Górcie. Spodziewał się, że przybiegną tu, dowiedziawszy się o jego zwolnieniu, chociażby z ciekawości, żeby wypytać, co zaszło, jaki był przebieg przesłuchania, co ma być dalej. Rysiek nie zwoływał ich wprawdzie, nikogo nie zapraszał na swoje nocne rozmyślanie, ale gdyby któryś przyszedł, pogadałby z nim od serca, szczerze, apelując do rozsądku.

Szczerze — o czym? O tym, że się pomylili. A przede wszystkim, że pomylił się on, Rysiek Kabat, ich przywódca — Marzyciel. O tym, co się stało między spotkaniem u Kotkowskiego i dzisiejszą nocą objawienia się Ryškowi całej prawdy o ich sprawie.

Metoda, którą wykombinowali, była w istocie rzeczy tak prymitywna i prosta, tak w dodatku dostosowana do toku i form życia w Topolewie, że trudno się było dziwić bezradności milicji. Może nawet ktoś przyglądał się podejrzliwie grupce, kręcącej się po stacyjce zawsze prawie w tym samym składzie, lecz komu by przyszło do głowy dzielić się tymi spostrzeżeniami z władzą? Jedni bali się, że mogą oberwać polem guza w ciemnościach wracając po pracy do domu, innym było w ogóle obojętne: kto i u kogo kradnie. Przy istniejących w Topolewie podziałach na tych, co mają i tych, co nie mają, lub mają o wiele mniej, słowem: na bogatych i niezamożnych albo wręcz biednych, ogół nic żałował zbyt uszkodzonych posiadaczy. „Biednemu nic ukradną” — powiadali ludzie. A jeżeli już kiwano z ubolewaniem głowami, to raczej ogólnikowo, abstrakcyjnie, w intencji sponiewieranego siódmego przykazania. Tak więc za parawanem tego znieczulenia, tego zubożenia, gang Kabata czuł się niemal zupełnie bezpieczny.

Ta swoboda działania, skuteczność podejmowanych wypraw, rozzuchwalały chłopców w tempie gwałtownie narastającym. Potrafili jednego wieczora zrobić dwa, trzy skoki. Obrobili kogoś w Topolewie i natychmiast wskakiwali do kolejki, by dokonać następnego włamania dwie stacje dalej. Byli pijani swoimi sukcesami, ogarniało ich coś w rodzaju ekstazy. Wyprawy stały się dla nich czymś na podobieństwo nałogu. Gdy mijały dwa, trzy, cztery dni, a im nic udawało się trafić na właściwy obiekt, chodzili źli, kwaśni, rozgoryczeni. Zaczynali skakać sobie do oczu, wypominając nawzajem popełnione błędy i potknięcia. Następna udana eskapada zacierała pamięć o tych scysjach.

Niepostrzeżenie hazard stał się dla nich ze środka, który miał prowadzić do konkretnego celu — celem samym w sobie. Prawdziwy cci oddalał się, stawał się nieuchwytny. Nie mówili już o tym, co zrobią ze skarbem, ukrytym w „Sezamie” — bo tak nazwali leśną melinę w bunkrach — w jakim celu go użyją, lecz „ile tego jest”.

I zacierali ręce z uciechy, gdy słyszeli, jak się o nich mówi. Wyrażali współczucie poszkodowanym, jeżeli byli to ich znajomi. Wszystko, co robili, było wyzwaniem rzucanym raz po raz światu dorosłych. Oni, te lekceważone ludzkie okruchy — poczuli się ważni. Wysztychani — mogli nareszcie drwić ile popadło. Poniewierani przez głupich, złych, a czasami tylko nieszczęśliwych, przytłoczonych troską rodziców zuchowałością swoją wynosili się ponad szary tłum zwyczajnych zjadaczy powszedniego chleba.

Dwa elementy utwierdzały ich zajadłość i dawały niewzruszone poczucie siły: przynależność do gromady i posiadanie bogactwa. W pojedynkę każdy z nich był słaby, musiał ulegać całej zhierarchizowanej społeczności dorosłych: rodzicom, starszemu rodzeństwu, nauczycielom, przełożonym w pracy, a nawet konduktorowi w kolejce czy milicjantowi na stacji. Razem — stanowili mściwą pięść, która w każdej chwili mogła stać się zagrożeniem dla każdego, kto popadł u nich w niełaszkę. Dodatkową atrakcją była konspiracja: skrytość działania.

To uniesienie zaciemniało wizję przyszłości, która zwabiła ich w pułapkę. Coraz rzadziej mówiło się o rejsie przez oceany w poszukiwaniu bezludnej rajskiej wyspy. Jakże mogła mieć znaczenie ta wyimaginowana kraina, skoro tu, na miejscu, usypali sobie niewidzialną, ale realnie istniejącą samotną wyspę, na której osiedli, rządzą się jak chcieli i panowali nad otaczającym ich ludzkim morzeni. Kto wic, czy w ogóle już teraz chcieliby podjąć trud wymyślonej podróży? Czyż nie bardziej odpowiadała im i ich ograniczonej wiedzy o świecie i życiu sytuacja, którą stworzyli?

Wśród rówieśników zajęli pozycję obronną, lecz nienaruszalną. Sporo młodzieży domyślało się, „co jest grane”. Bierna i nijaka — podziwiała śmiałków. Z hipisami kłopotów nie było, minęły czasy ich królowania i aktywności w Topolewie i okolicach.

Zaś obecność Marka w gangu pomogła chłopakom ułożyć stosunki z „gitami”. Zresztą „git-ludzie” w kradzieże na ogół się nie bawią, ich domeną jest przeważnie bezinteresowna rozróżba.

Więc mijali się spokojnie na uliczkach Topolewa i na leśnych ścieżkach, wydając z siebie nieartykułowane mruknięcia. Czasami nawet gitowcy ostrzegali, że na stacji kręcą się gliniarze i nie należy się tam pokazywać.

Niebezpieczeństwo nie zagrażało więc od zewnątrz. Przyszło od wewnątrz, uległo się między nimi samymi, w bandzie. Naiwność, brak wyobraźni, zaślepienie łatwym sukcesem spowodowały, że przestali myśleć nie tylko o wyprawie jachtem dookoła świata, ale w ogóle o przyszłości, o dniach, które nastąpią. Uroili sobie, że to lekkie życie już takie pozostanie. Że ułożona między nimi gra — to na zawsze. Albo przynajmniej na tak długo, że niewyobrażalnie odległy jest dzień, kiedy skończy się hulanka.

Ten dzień jednak nadchodził. Skradał się podstępnie i wytrwale.

Zaczęło się od niewielkich, ale znaczących konfliktów. Wydało się, że Krzysiek-Kolumb przechwalał się wobec swojej dziewczyny Hanki, jaki to z niego bohater. Sława gangu jako anonimowa nic zadowalała go. I cóż komu po takiej sławie, jeżeli nie można obnosić się z nią w obliczu ukochanej? Ponieważ rodzice obojga zakochanych słyszeć nawet nie chcieli o jakimś tam małżeństwie, Krzysiek oświadczył, że niedługo już będą mogli razem wyjechać za granicę, a tani nikomu nic do ich spraw. Panna przestała w ogóle uczęszczać do szkoły — bp nie warto — a koleżankom opowiadała na lewo i na prawo, jakie ją czeka szczęście.

Było to ze strony Kolumba wykroczenie przeciwko zasadom, obowiązującym w paczce. Tak bowiem, jak nie było w paczce dziewczyn, tak też karalne było dzielenie się z kimkolwiek, a przede wszystkim z babami, tajemnicą gangu.

Kajtek-Kufel popełnił inne, lecz równie ciężkie przewinienie. Rączki miał lepkie od małego i nie odróżniał cudzej własności od swojej. Przykleił się więc do niego niemiecki „pentacon”, bo lubił fotografować. Tłumaczył się, że aparat tylko „pożyczył sobie”. Poza tym nie mógł zrozumieć, jaka jest różnica pomiędzy jego czynem i tym, co robią oni wszyscy razem.

Sąd nad winowajcami odbył się na Górcze Czarownicy. Rysiek wygłosił mowę oskarżycielską i zastanawiał się właśnie nad wyrokiem, gdy niepostrzeżenie Marek wykonał nieznaczny ruch ręką. Mietek-Prawus i osiłek Janusz, zwany Kamieniem, rzucili się na podsądnych jak lawina. Bili twardo, bez litości, jak maszyny.

— Co wy?! Przestańcie, no, już! — wołał ? Rysiek, ale oni nie zwracali na niego żadnej uwagi.

— Za co? Za co? — chrypiał Krzysiek, usiłując rękawem koszuli zatamować krew, chlustającą mu z nosa.

Kajtek chlupał, trzymając się za brzuch.

— Za to, że z was frajerzy — krzyknął Marek-Cygan i wszyscy obrócili się w jego stronę. Usta wykrzywił mu okrutny uśmiech.

— Dlaczego frajerzy? — zdziwił się Janek-Łamaga. — Frajera robi się w konia...

Cygan zaśmiał się szyderczo:

— Jak trafisz do gara, to się dowiesz. Tam frajer znaczy co innego, niż w cywilu. Frajer, to taki, co ma krzywość. To znaczy nie jest w porządku wobec ludzi, z którymi razem garuje. Za dużo miele ozorem, donosi klawiszom, kapuje, albo podkrada kumplom to i owo. No i daje się bić. Jak ktoś zostanie frajerem, albo cwelem, takim, co to —tu zrobił ramieniem ruch obrazujący gwałt — no, rozumiesz... to już do końca życia z tego się nie wyłabuda.

— A ty, Cygan — pisnął zaczepnie Waldek-Mały. — Kim byłeś w ciupie?

— Ja? — wypiął dumnie pierś Cygan. — Charakterniakiem. Takim, co rządzi, rozumiesz?

Rozumieli dobrze, a najlepiej z nich wszystkich zrozumiał Rysiek Kabat. Nie będzie już teraz jednego szefa w gangu. Będzie dwóch wodzów. Cygan zdążył przeciągnąć na swoją stronę Janusza i Mietka. Teraz to już są jego ludzie, jego obstawa.

Ten incydent wiele zmienił w bandzie. Była to nic tylko zmiana układu sił, ale prawic rozłam, chociaż chodzili jeszcze wciąż razem na swoje łupieżcze wyprawy. Zaczęła zawodzić dyscyplina. Rysiek nie mógł czasami wyegzekwować posłuchu dla swoich rozkazów. Udawało mu się to tylko wówczas, gdy nic sprzeciwił się Cygan.

U Niedzińskich wzięli rodzinne stołowe srebra. Był to ich sto dziesiąty skok — nie przeczuwali jeszcze, że ostatni. Paczka była ciężka i nieporęcznie było im z nią uciekać. Wtedy to właśnie w ciemności roz błysło nagle światelko. Profesora Firlejowa mimo podeszłego wieku słuch miała jeszcze nadal znakomity. Dosłyszała brzęk tłuczonej po drugiej stronie ulicy szyby, a że na odwadze jej nie zbywało, wyszła przed swój domek, uzbrojona w latarkę i grubą lachę. Byli jednak od niej szybsi i tylko Rysiek pojawił się przypadkiem w jej polu widzenia.

Incydent ten stał się jednak poważną przeszkodą w dalszym kontynuowaniu akcji. Postanowili na jakiś czas działalność zawiesić, a Rysiek miał przeczekać w ukryciu, aż uspokoi się zamieszanie.

Zebrali się na naradę w „Sezamie”. Tam było bezpiecznie.

— No i co robimy dalej? — rzucił ktoś pytanie. Rysiek milczał, zbierał myśli, a Marek-Cygan mruknął wyzywająco:

— Może nasz Marzyciel coś nam wymarzy...

— Odwał się — warknął Rysiek.

— A ty nie podskakuj — odciął się Cygan. — Spieprzyłeś robotę. Żaden szef nie wyrywa pierwszy, bokiem chadza, albo ostatni. Albo w ogóle na melinie siedzi i czeka.

— Znudziła mi się już ta zabawa — wtrącił się Tadek. Najmniej ze wszystkich czuł respekt przed szefami, co dowodziło, że mocna sytuacja finansowa przydaje człowiekowi pewności siebie. — Zdam za tydzień do samochodówki, jak zdam, stary obiecał mi motor. Biorę moją dolę i spływam.

— Jak to, spływasz? Co ty gadasz? — obruszył się Rysiek.

Tadek spojrział z ukosa na Cygana. Rysiek pojął, co się święci. Więc tak obmyślił sobie Cygan zakończenie całej sprawy. Dobrze: każdy weźmie swoje! Jeden będzie paradować z „pentaconem”, żeby inni pękali z zazdrości. Drugi da swojej cizi pierścionek z brylantem, a ta, rzecz jasna, natychmiast włoży go na łapę, żeby całe Topolewo zobaczyło. Trzeci pobiegnie z towarem na bazar, a tam gliny już czekają z utęsknieniem na taką okazję. To się nazywa podejść pod nóż!

Powiedział im o tym przerywanym, podnieconym głosem. Roześmiali się. A Cygan, wyjaśnił znudzonym tonem, jakim przemawia się do niezbyt pojętego dziecka:

— Słuchaj no. Marzyciel. Czy ty taki naprawdę głupi, czy może ci się marzy, że nas wykpisz i pewnego dnia sam wszystko zgarniesz, a nam figę pokażesz? Ten numer nie przejdzie. Taki z ciebie szef, Marzyciel, jak z koziej dupy trąba. Ty jesteś mięczak. Każdy z nas chce mieć forszę. Jest tyle, że dla każdego z nas starczy. A ty przestań pleść głupoty. Żadnych bezańskich wysp nie ma, żeby nam ktoś pozwolił się na nich osiedlić. A jeżeli nawet są, to co byśmy na takiej wyspie robili, idioto? A za co ten jacht zbudować, cośmy mieli nim płynąć? Hurtem to wszystko opylisz, czy jak? Komu? A wiesz, ile taka łajba kosztuje? Pięć milionów. W Piastowie jeden robi. A z portu kto nas wypuści?

Napięcie rosło. Jedni uważnie przysłuchiwali się wymianie zdań między szefami, inni mieli wypieki na twarzy i rozmarzenie w oczach. Nozdrza poruszały się im jak psom, które węszą ślad. W „Sezamie” pachniało bogactwem. Rysiek zrozumiał, że musi grać na zwłokę. Wysunął propozycję odsuwającą moment decyzji na jakiś czas:

— W porządku. Cygan. Może masz rację. Ale co nagle, to po diable. Trzeba wziąć na wstrzymanie. Przeczekać, aż się ta stara jędza Firlejowa uspokoi. Ja na razie nie mogę się w Topolewie pokazać. Zamelinuję się tutaj, Akrobata albo kto inny będzie mi tu przynosić wyzerkę i znosić wiadomości.

— Na jak długo? — spytał podejrzliwie Cygan.

— Trudno wyczuć. Tydzień, dziesięć dni. Myślę, że wystarczy. Jdzie lato, każdy pryśnie w inną stronę, że niby na wakacje, na urlop, albo na robotę do badylarzy.

—? Może do tego czasu Firlejowa kopyta wyciągnie... — bąknął Janusz-Kamicień.

— A może... — milczący do tego czasu Wacek-Wolny zaczął mówić, ale zająknął się. Twarze zebranych obróciły się w jego kierunku. Pызata, upstrzona piegami buzia była ściągnięta nieprzyjemnym grymasem. — Mo... mo... może by tak jej w tym pomóc — ... wycedził przez zęby. — Postraszyć ją, albo w oooogóle uciszyć.

Było to tak nieoczekiwane, że zapanowało głuche milczenie. Ten drobnutki, mały chłopaczek, uśmiechający się tak niewinnie — i pomysł: zabić starą Firlejową!

— Czemu nie? — mruknął w końcu Marek-Cygan. — Ale trzeba by dobrze nad tym pogłódkować, żeby wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Bo to już mokra robota.

— No nie! Ja się nie zgadzam! Bzdura!!! — zaczął krzyczeć Rysiek.

— Dobra, dobra. Marzycielu — syknął Cygan. — Poczekamy na konfrontację, zobaczymy, czy wtedy też ci będzie jej żal.

Rozeszli się jacyś tacy inni, speszeni, nagle sobie obcy.

Rysiek zadekował się w bunkrze, dni mijały mu niespokojnie. Miotał się to po niskim, ciasnym i wilgotnym pomieszczeniu, to dla odmiany po zaroślach, gęsto i bujnie porastających teren dookoła. Nie umiał znaleźć wyjścia z sytuacji. Wiedział tylko jedno: przegrał. Nie dlatego, że nie popłyną nigdy całą paczką w zaplanowany rejs ani nie założą hodowli koni w Bieszczadach. Ale dlatego, że krach całej sprawy stanie się, albo stał się już osobistym krachem każdego z nich. Ile zła i okrucieństwa wyzwolił w nich moment, kiedy poczuli się zagrożeni! Jak otwarcie zrzucił maskę Wolny! Tak otwiera się przepaść, w którą toczyć się będą jeżeli nic wszyscy, to wielu z nich. Ogarniała go wściekłość na całą bandę, a najbardziej na siebie samego. Zdawał sobie sprawę, że do niczego takiego by nie doszło, gdyby on ich nie zebrał, w głowach im nie poprzewracał, nie poprowadził do łatwych łupów.

Pewnego wieczora zakradł się do Ryśka Zdzisiek-Akrobata, wierny giermek. Nie było go już od kilku dni, jedzenie przynosili na zmianę Prawus i mały Waldek. Akrobata mówił szeptem, jak gdyby obawiając się, że ktoś ich podsłucha:

— Nie puszczali mnie do ciebie, bo mi nie wierzą. Niedaleko stąd Janusz namiot sobie postawił i pilnuje, żebyś jakiegoś numeru nie wyciął. Na zmianę w tym namiocie siedzą z Cyganem. Zebrali się na Górcie, ale mnie nic dopuścili, długo gadali i nic wiedziałbym o czym, gdyby nic Kufel. Naprułem się na drania, jak siedział pod kinem, w dupę pijany, całkiem bejc. I zaczął się przechwalać, że panowanie twoje już się skończyło i że ty też się niedługo skończysz. Bo postanowili ciebie zaciukać. Tak dokładnie powiedział. Zaciukać. Bo albo ciebie, albo starą Firlejową. Ale z nią poszłoby trudniej, bo ludzie dookoła. A że ty tu na osobności, to z tobą łatwiej sobie poradzić. Zakopię cię tu w lesie i nigdy ciebie nikt nie znajdzie. Można będzie całą winę zwalić na ciebie. I nie będzie przeszkody, żeby skarb podzielić.

Rysiek zapytał z wahaniem:

— I wszyscy się na to zgodzili? Akrobata wzruszył ramionami:

— Wszyscy jak wszyscy. Ferajna rozpadła się. Krzysiek poszedł do wojska, cieszył się jak cholera, no bo to było dla niego wyjście. Tadzka też już nie ma. zdał do tej swojej samochodów-ki i nie tylko motor dostał, ale starzy zafundowali mu zagraniczną wycieczkę. Jacek poharatany. Z kolejki wypadł, ale ja myślę, że oni mu pomogli. Tyle że nie zabił się, ale przeleży się jeszcze parę tygodni. Boję się, że mnie też w łeb dadzą, bo wiedzą, że ja z tobą trzymam.

— W porządku, dziękuję ci.

Akrobata poskrobał się za uchem, sięgając po coś do kieszeni rzucił nieśmiało:

— Słuchaj. Rysiek, mam tu taką jedną rzecz... Może ci się przydać.

Na jego niezbyt czystej dłoni leżał rewolwer, „tetenka”.

— Skąd to masz? — zdziwił się Rysiek.

— A... wykopałem kiedyś tu w lesie, niedaleko, pod takim starym bukiem. Opakowany był, nasmarowany. Ja myślę, że on tak od wojny przeleżał. Nie chciałem, żeby chłopaki wiedziały. Teraz zacząłem nosić. Ale tobie bardziej się przyda, niż mnie. Weź. Cześć.

Zniknął cicho tak jak się zjawił, a Rysiek został, zapatrzony w czarny kształt, spoczywający obok niego na odłamku betonu. Ten bunkier przypominał o wojnie, rewolwer — ? o wojnie, a on w ogóle nie wiedział, co to jest ta wojna. Ogarnął go zwyczajny ludzki strach. I wstręt. Być „zaciukanym” tu gdzieś w lesie, w przeraźliwej samotności? Jak oni to robią? Nożem? Mojką? A może osiłek Janusz rozwali mu łeb kamieniem, albo ściśnie za gardło tymi ogromnymi łapskami, tak jak zadusił kiedyś psa?

Pot spływał mu po twarzy, po plecach, nawet ręce miał mokre. Przyszła mu do głowy myśl, która wydała mu się zbawcza: pójdzie na milicję, do tego starego piernika Gronia i powie mu o wszystkim. Cóż, przecież on nie ma nic do stracenia. A chłopaki? Należy się im odsiadka. Ale Cygan nic będzie już miał swojej bandy, którą tak bezczelnie ukradł Ryškowi.

Wyjrzał, czy nikogo niema i dal nura w krzaki. Okrężną drogą dotarł do zrujnowanego dworku na mokradłach za groblą i tam się przespał. Nad ranem przypominał sobie, że zostawił w leśnym bunkrze rewolwer. Trudno, nie będzie po niego wracać. W południe rozsiadł się na stacji w Zabrzezinach. Tu go nic zaatakują, za dużo kręci się ludzi. Zresztą, czy przyjdzie im do głowy, że oto siedzi sobie spokojnie na publicznym widoku i macha niedbale nogami w podartych tenisówkach. Czekał w słońcu. Niech się coś wreszcie stanie. Cokolwiek. Żeby ustał ten dokuczliwy, drobny dreszcz, który odczuwał w całym ciele. Wiedział, że Firlejową często bywa w Zabrzezinach. Zwłaszcza latem, kiedy u kuzynki dojrzewają truskawki. Nie pomylił się. Z pierwszego wagonika kolejki wynurzyła się niewysoka dziarska postać w niemodnym słomkowym kapeluszu i wrzasnęła:

— Jest! Jest! Złodziej! Łapcie złodzieja!

W pamięci Ryśka przesuwaly się poszczególne obrazy, a nad jego głową nocne niebo zamieniło się w niebo przedświt. Jeszcze trochę tu pobędzie. Do wschodu słońca, jak umówił się z Groniem. Decyzja Gronia Hyla dla niego zaskoczeniem, ale rozumiał jej sens. Groń postanowił sobie, że zdobędzie zaufanie Ryśka i że to ułatwi rozwikłanie całej sprawy. Ale pewnie się rozczaruje, kiedy Rysiek wyśpiewa mu całą prawdę. I na co właściwe była jemu. Ryškowi, potrzebna ta noc? Wahał się, gdy sam sobie usiłował dać na to pytanie odpowiedź. Czy tylko po to, aby poddać próbie dobrą wolę Gronia? Uporządkować myśli przed zeznaniem? Zrozumieć samego siebie? A czy nie po to też, aby durniom z rozbitej swojej pliczki pokazać, że się ich nie boi?

Zdawało mu się, że widzi i słyszy po raz pierwszy, jak o świcie odżywa las. Poranny wiatr poruszył sosnami, korony ich zaszumiały spokojnym, głębokim basem jak morze. Rysiek chciałby tak na zawsze pozostać w tym lesie, takim swojskim, przytulnym: Zdał sobie sprawę, że najbardziej po to potrzebował tej pustej nocy. Pozostanie już na zawsze jego własnością. Nie tylko jako miejsce rachunku sumienia, ale w jakimś sensie miejsce rozgrzeszenia i pociechy. Istnieje na świecie coś, co jest wierne i przyjazne człowiekowi niezależnie od burzliwych losów ludzkich. Ziemia pod szerokim niebem, trawa, brzozy, las. W więzieniu, w snach, będzie miał do czego wracać.

Wstał, otrzepał dżinsy z okruchów suchej trawy i zaczął zbiegać stromą ścieżką w stronę Topolewa. Z wysokości wyglądało jak dolina. Ale w dolinie tej nic było już nocy. Panował w niej dzień.

Gdy dobiegi do stóp pagórka, wyszli do niego z krzaków. Było ich pięciu i tak otoczyli Ryśka, że nie miał drogi ucieczki. Marek-Cygan. Mietek-Prawus, mały Waldek, Janusz i Kajtek-Kufel. Cygan trzymał niedbale ręce w kieszeniach, tamci mieli w rękach noże.

— Dość już zabawy. Marzyciel. — To Cygan przyjął na siebie rolę prokuratora. — Pomarzyłeś sobie całą noc na Górcę i dość. Jesteś zdrajca, ?czyli kurwa. I dokąd to tak ci spieszo, co? Do nowego przyjaciele, pana komendanta Gronia pewnie. Czy nic tak?

— Groń... — zaczął mówić Rysiek, siląc się na spokój.

Ale Mietek przerwał mu. śmiejąc się ze złośliwym triumfem:

— Z żadnym Groniem nie spotkasz się, bracie.

— Powiedział, że jeżeli zwrócimy wszystko, wyroki będą bardzo niskie. Może w ogóle nas puszczą...

— Pleciesz — przerwał Cygan. — Co będziesz zwracać, kiedy wszystkóśmy tej nocy wynieśli.

— I magnetofon z kasetami, od Kotkowskiego?

— A jakże. Zanieśliśmy mu z całą paradą — wyjaśnił drwiąco Kufel. — Ale nie darmo. Dał nam za trochę zielonych. Skasował taśmy przy nas. Pogroziliśmy trochę staruszkowi. Ale nic się nie bój, żyje ten twój prorok. Ale Gronia przeklina. Obiecał nam, że sprawi mu łomot. Jeszcze dziś, bo rano wyjeżdża za granicę.

— Dranie, jesteście dranie! — krzyknął Rysiek.

— No widzisz, nie masz po co chodzić do Gronia, Marzycielu. — Cygan z upodobaniem wymawiał owo nieszczęsne „Marzycielu”.

Skarbu nie ma. Taśm jako dowodu rzeczowego ani centymetra... No i spowiednika będzie ci brakować. Bo jak pan magister nie da mu rady, to jest i drugi amator do porachunku. Draczny facet. Przyskrzyniliśmy go przy bunkrach, kiedy robiliśmy tam porządek. Myśleliśmy — szpieg jaki, czy co. Ale to wariat. Szukał czegoś po krzakach, pod drzewami i narzekał, że tak powyrastały, że on miejsca, w którym schował zaraz po wojnie swój rewolwer, znaleźć nie potrafi. Okazało się, że to braciszek naszego pana komendanta i straszną złość na niego ma. Taką, że chce go zastrzelić. O co tam poszło, nie pytaliśmy, co nam do tego. A przeszkadzać nie będziemy. Żeby mu nie było smutno, daliśmy mu pukawkę. Leżała w bunkrze, pewnie twoja... Ale on mówił, że jego. Że poznaje.

Zbliżali się do Ryśka krok za krokiem. Cyganowi sprawiało przyjemność dręczenie ofiary, z upodobaniem przyglądał się pobladłej twarzy Kabata. Dookoła chłopaka zamknął się pierścień oblegających.

Błysnęły noże jak iskry. Właśnie wzeszło słońce, wystrzeliło zza horyzontu purpurową kulą, jego promienie odbiły się we wzniesionych ostrzach.

— Stać, bo strzelam. Ręce do góry. Rzucić broń.

To Bielski wyszedł zza rozłożystego pnia dębu i celował w nich z pistoletu.

Poddali się. Wprawdzie Cygan miał zamiar rzucić się do ucieczki, zrobił krok, ale Bielski strzelił ostrzegawczo w powietrze, a Rysiek, wykorzystując moment zaskoczenia, powalił! Cygana ciosem pięści w splot słoneczny.

— Kabat — głos Bielskiego był podniesiony, ale spokojny. — Ganiaj na posterunek. Uprzedź. Z najbliższego domu dzwoń, żeby mi tu przysłali radiowóz. Będę schodzić z nimi powoli w dół,

Rysiek rzucił się biegiem. Przestrzeń, dzieląca skraj lasu od posterunku, od centrum Topolewa, nigdy nie wydała mu się tak wielka. Minuty, które mijały gdy biegi, były najdłuższymi, jakie w życiu pamiętał. Po drodze spotkał radiowóz: zgodnie z rozkazem Gronia patrolowa! osiedle. Wskazał milicjantom kierunek — za chwilę będą przy Bielskim.

Dotarł do posterunku bez tchu. Pusto jeszcze było na stacji, pusto przed posterunkiem i w sionce. Jednym szarpnięciem ramienia otworzył drzwi i głęboko odetchnął. Zza biurka uniosła się na jego spotkanie tęgawa, nieforemna postać w wygniecionym mundurze.

— No, jesteś...

Dosłyszał jeszcze Rysiek te dwa słowa, wypowiedziane z głęboką radością. A potem zza okna, otwartego za biurkiem na całą szerokość, rozległ się strzał i Groń całym ciężarem ciała runął na stojące przed nim biurko.